

PISMO DLA RODZIN.

№ 37. Warszawa, dnia 4 (16) Września 1875 roku. Rok 11.

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:	na prowincyi w Cesarstwie i Królest.
rocznie. . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . rs. 8
półrocznie. . „ 3 „ „	półrocznie . „ 4 k. „
kwartalnie. . 1 „ 50	w Austryi roczn. 14 guld.
miesięcznie . „ 50	w Prusach „ 24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT
NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12, w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

OGÓŁ CZYTAJĄCY.

Wyrażenie utarte w dziennikarskim języku, przedstawia dostojną część społeczeństwa — część myślącą, dla której książka stoi na równi z chlebem powszednim, przedstawia zbiorową całość złączoną siecią myśli, całość poruszaną prądem płynącego z jej łona źródła literatury, przyswajającą sobie pierwiastki, duchowego świata pojęć, prawd, wyobrażeń — jednem słowem: społeczność żyjącą podwójnem życiem — czynu i idei.

I oto widzimy ogół, zbrojny znajomością alfabetu, niby kluczem do wspaniałej świątyni myśli i wiedzy. Tonie on wprawdzie w masach niepowołanych jeszcze i nie władnących tak prostym środkiem, przecież setki tysięcy coś znaczą w obec milijonów, a ziarnko światła plenne jest. Mamy setki tysięcy czytających. Nie — to tylko *umiejących* czytać.

Umie czytać ten i ów włościjanin — lecz tylko na swej książeczce, z której intonuje śpiew pobożny przede mszą; umie czytać rzemieślnik, o tyle że przeczyta szyld, w czem pomaga mu wyobrażony obok liter kufel wraz z butelką. Czyta stara babina klepsydry na rogach ulic, i senniki z tablicą Pitagoresa, czyta jej wnuczka stary romans od antykwaryjusza; czyta urzędnik kuryjera, zamożniejszy ziemianin rozczytuje się w polityce, czy się nie zanosi na wojnę — a panienki i panie ogromnie czytają tkliwą powiastkę, gdzie króluje miłość wygnana z rzeczywistego świata.

Czyliż to już wszyscy? Broń Boże! Są i poważni czytelnicy, dla których czytanie samo w sobie jest celem. Znam stróża, który w godzinach wolnych czytuje sobie w głos różne poważnej treści utwory. Między innemi słyszałem jak czytał ustęp z „Konsulatu i Cesarstwa“ szczęśliwym trafem znaleziony na korytarzu. O treść mu nie idzie, byleby po polsku było pisane, co zwykle rozpoznaje po przeczytaniu paru wierszy. Poezyja nie mniej uprawianą bywa tam nawet, gdzieby się najmniej spodziewać należało. Spostrzegłem niedawno „Intermezo“ Hejnego (bardzo ładnie oprawną książeczkę) w rękach kucharki.

Czytać umieją całe „zastępy nieprzeliczone“ — cóż z tego, kiedy część ich nie ma co czytać, część nie ma na to czasu, a oczu boi się zepsuć, inna część nie chce, uważając czytanie za głupstwo i rzecz nudną straszliwie, nie wie co to właściwie jest czytanie, nierozumie czytanego słowa, używa szacownej umiejętności w fałszywy sposób... Któż wyliczyć zdoła wszystkie kategoryje ludzi poniewierających kluczem do światła, jako rzeczą bez żadnej wartości.

Odsunąwszy cały tłum prostaczków, ciemny straszliwie mimo umiejętności czytania, mamy jeszcze pokaźną bądź co bądź garstkę *oświeconych*, którą chcielibyśmy koniecznie podciągnąć pod „ogół czytający.“ Ludzie oświeceni, uczyli się coś więcej nad poznanie liter, stanowią świat pełen pretensyi do wyższości. W tym świecie nie łatwo odszukać rzeczywistą granicę między czytającymi a umiejącymi czytać. Przeglądasz jeden, drugi dziesiątek i nie wiesz jak dalece trza zniżyć zasadę klasyfikacyi, aby nie rumienić się przed sobą samym za cyfrę.

Ten za mądry aby zniżał się do książki, ten ma ważniejsze rzeczy na głowie, ów udaje że kiedyś dużo się niemi zajmował, ten przypadkowo dowiaduje się tylko co też tam „pisało“ w gazecie, ktoś w chwilach nudów śmiertelnych przerzuca jakieś pismo szukając ciekawości — inny rozrywki tu szuka w braku lepszych. Strach, jak topnieje pokaźny „ogół czytający.“ Może lepiej się nam powiedzie wśród kobiet! Czasu mają dużo pilnując „domowego ogniska,“ daleko więcej też mają do czynienia z drukiem — co im zapełnia puste chwile życia. Rzeczywiście czytają. Ale co, i jak? Nie pytajmy bo to niegrzecznie. Teraz taki czas że wstyd przyznać się do czytania wyłącznie powieści, podobnie jak do zamiłowania w muzyce skocznej, uwzględnijmy lepiej sami co należy uwzględnić i pocichu wyłączamy z czytającego ogółu dorosłe dzieci słuchające bajeczek dla bajeczek. Ale wtedy niestety szumno brzmiąca nazwa obejmie szczupłą garstkę zdolną zaledwie zaludnić miasto jakie porządne, i to bardzo porządne. I oto mamy ogół dla którego wychodzi „mnóstwo“ pism, dla którego półki księgarskie „stękają“ pod ciężarem różnorodnych utworów myśli i zagraniczny drukowany towar płynie przez wszystkie komory celne.

Nie byłoby w tem jeszcze nic dziwnego, gdyby cały ów ogół światły, myślący, łaknący drukowanego słowa dla nieustannej zamiany obcych myśli na pożytek własnego umy-

słu, gdyby ta cała sprzeczność mówię zużytkowywała równomiernie mniej więcej płody literatury. Wypadłoby może na każdego czytającego członka po jednym bodaj piśmie, po parę książek... Przy stosownej zamianie i uczynności panującej w sferze czytelnictwa mielibyśmy tu dość pocieszający obrazek. Tak nie jest na nieszczęście, i trudno z otuchą patrzeć na żywotność rozwoju literatury gdy widzimy, że ona wspiera się na małej cząstce zamożniejszych osób i rodzin, dla których posiadanie nowości literackich, artystycznych i naukowych stało się potrzebą, lub... rzeczą dobrego tonu. To są filary naszego piśmiennictwa, reszta czyta wprawdzie lecz przypadkowo tylko, jakby niechcący, i ze słuchu bardziej niż z czytania wcielona bywa w świat literatury; książkę uważa za rzecz zbyt małej wagi, posiadanie jej za zbytek najzbytkowniejszy. Kupować druki! Naco? To rzecz z którą człowiek spotyka się wszędzie, do której ogół tak mało wagi przywiązuje, którą na funty dostać możesz jak lichą bibułę, której pożyczy ci kto niebądź, a pożyczywszy zwrotu nawet nie żąda!

Rzecz dziwna! książkę mało kto kupuje, zaopatrują się w nią wyjątki nieledwie — tymczasem wszędzie znajduje się ich sporo, nawet w nieczytających spotyka się niemało starych i nowych szpargałów w najdziwaczniejszem ugrupowaniu. Skąd się biorą? Właściciel nawet objaśnić tego nie potrafi. Są to rzeczy pływające z wodą i roznoszone wiatrem po świecie, niewiedzieć skąd się biorą i gdzie przepadają. Książkę pożyczoną zatrzymuje się nie bynajmniej ze zdrożnych skłonności, najczęściej dzieje się to przez proste zapomnienie pożyczającego, jak też i tego, kto pożycza—oto jasna miara wartości, jaką zwykliśmy przywiązywać do książki.

Literatura tedy nasza mimo okrzyczanego jej rozwoju wspiera się na rodzinach potrzebujących by na ich stole w bawialni leżały pokaźniejsze drukowane nowości i z biblijoteczki wyglądały grzbiety ładnie oprawnych tomów, i na rozsianej tu i owdzie garstce myślących jednostek i jeszcze mniejszej gromadce specyjalistów. Reszta „czytającego ogółu" należy „do pospolitego ruszenia," i od biedy ciężkiej tylko w szeregach ogółu tego staje.

Wśród rzeszy tej np. liczy się olbrzymia falanga polityków, i różnobarwny rój belletrystyczny. Tych wielkich oddziałów nie śmiemy do pospolitego ruszenia zaliczyć ze względu iż do regularnych sił czytających należą przeważnie, przez dźwiganie na swych barkach przeważnych dwóch odnóg piśmiennictwa, prenumerują gazety, pisma, czytają książki nabywane zwykłą handlową drogą i żywią swemi nabytkami całe otoczenie pospolitego ruszenia. Politycy i belletryści! Żywioł ten męzki i żeński (jeśli wezmiemy podział przeciętny), mieści w sobie najróżnorodniejsze stany społeczne i organizacyje umysłowe.

Gdybyż to tylko emeryci, krawcy i starzy obywatele ziemscy zajmowali się specyjalnie polityką, a dziejami serc bohaterów romansowych żywiły się nie młode panny chodzące pieski, bezdzietne małżonki i inne osoby wolne a tkliwe! Niestety — trudno znaleść poważnego męża, któremu by obowiązek czuwania nad Europą zostawiał jeszcze czas na zaspakajanie własnych potrzeb umysłowych; niestety, po dawnemu, jak na ułudne zjawisko patrzysz na kobietę czytającą coś więcej nad powieść.

Nie pogardzamy powieścią, wiemy jaką jest dźwignią dla nas. W przestronnej jej formie mieszczą się najważniejsze zagadnienia życiowe, przybytek uroczy, znajdują najpoważniejsze myśli, naukowe prawdy i cały świat ludzki ze wszystkiem co go otacza. Powieść to potężna broń idei i jej karmicielka, lecz zawodzi położone w niej nadzieje wychowania myślących pokoleń.

Powieść daje w miły sposób pewien zasób pojęć, ogólnych poglądów, barwnych obrazów a szeroka popularyzacyja myśli za pomocą jej zalewa poziom nieprzygotowanych płytkich umysłów, nasyca je i zadawalnia odbierając dzielność do gruntowniejszej pracy. Powieść rozsiewając myśli na nieprzygotowaną niwę, wytwarza tylko coraz więcej umysłów powierzchownych. Bo i na cóż się mozolić głębszem myśleniem, badaniem, kiedy do otwartych ust sypie się słodka manna z nieprzebranego rogu powieściowej Amaltei? Smutne wszędzie zubożenie ludzkiego ducha mimo przyrostu czytającego ogółu, zatrata oryginalności ludzkich umysłów i podobieństwo ich do owych malowideł otrzymywanych fabrycznie za pomocą t. z. patronów, zniżenie się stosunku ilości umysłów wyższych, badaczów i myślicieli, polor i wielostronność płytka zastępująca istotną wiedzę — wszystkie te zjawiska są ujemną stroną powieści, oddziaływającej na nieuprawną niwę umysłową.

Mała to pociecha, że ludzie mający dużo czasu wolnego, lub odkradający czas poważniejszym zajęciom, pochłaniają mnogie tomy cudzoziemskich i swojskich powieści, nie o wiele większa od tej pociechy, którą sprawia widok mnóstwa publicystów politycznych, nieświadomych zwykle najprostszych prawd historycznych, społecznych, ekonomicznych, a geografiją nawet mających w pogardzie.

Czciciele wiedzy, ludzie poszukujący prawd i wiadomości związanych z potrzebami swego życia i stanowiska w społeczeństwie, obok szlachetnej rozumnej rozrywki szukający w książce pokarmu dla myśli, ludzie uprawiający w skromnym zakresie jakąś grządkę nauki, ludzie którym wszystko co ludzkie, obcem być nie powinno — wieluż was można naliczyć w tej szczupłej gromadzie którą zowiemy czytającym ogółem?... Czy rzeczywiście mnożą się wasze zastępy?...

Literatura rodzinna jest jakby zasiewem rzucanym na ogół, na niwę, z której wyrosła. Gdybyśmy nawet zdołali cudownym sposobem sięgnąć największych gieniuszów świata, by stanęli przemawiać do nas naszem słowem, nie bylibyśmy bogatsi niż dziś— bo nie literatura, lecz ci, dla których ona kwitnie, z których ona czerpie swe zasoby — stanowią wartość, wielkość i siłę społeczeństwa. Ogół czytający i myślący można porównać (wybaczcie prozę

ŚLADY ŻYCIA.

XXXVII.

Tyle życia, ile... w czynie.

Od pewnego czasu humorystyczne czasopismo „*Kolce*" ze szczególną złośliwością napada na „Opiekuna Domowego," używając broni, która przynosi ujmę piśmiennictwu naszemu. Żaden środek, żadna broń nie jest tak niską, jak *bezczelne kłamstwo*. A „Kolce" bez wahania się do niego uciekają. Oto w ostatnim np. Nrze czytamy następujące słowa:

„Opiekun Domowy" pismo dla rodzin, oprócz oryginalnej powieści „Omanka" i tłomaczonej „Za wojennym śladem," pomieszczał w obecnym sezonie ogórkowym artykuły wstępne w tonie kaznodziejskim pióra pana Antoniego Pileckiego, poezyje przez pana Pileckiego Antoniego, przeglądy teatralne przez A. Pileckiego, biblijoteczkę domową przez Ant. Pil., felijeton „Ślady życia" przez A. P. i gospodarstwo i przemysł domowy przez P."

Znaczenie podobnych insynuacyj czytelnicy nasi aż nadto dobrze pojmują. Z jednej strony autor, któremu humorysta „z Kolców" podobną uniwersalność przypisuje, z drugiej Redakcyja pisma, jakoby posiłkowana wyłącznie prawie jednem piórem, w niezbyt dogodnym przedstawiają się świetle.

Ale na szczęście, fałsz to bezczelny. P. Pilecki młody i zdolny nasz współpracownik którego prac wcale się nie wyrzekamy, nie napisał ani jednego artykułu wstępnego, w sezonie ogórkowym pomieścił jeden tylko utwór poetyczny, do Śladów, które są rubryką stale przez kilka osób prowadzoną, dostarczał pojedyncze tylko ustępy— co zaś do wiadomości z gospodarstwa i przemysłu domoweg to wzmianka o nich była wtrącona jedynie na ukoronowanie płaskiego dowcipu; pozostaje więc tylko, że p. Pilecki pomieszczał w naszem piśmie oceny krytyczne.

Wykazawszy to bezczelne, a ze złą wiarą wypowiedziane kłamstwo, musimy też odkryć niecne jego pobudki, które należą do sfery najniższych popędów gniewu i obrażonej dumy. Skoro „Kolce" powzięły zamiar wydawać Kocka, oceniliśmy tę spekulacyją, jak na to zasługiwała, a że wzmianka ta znalazła się w Śladach, ktoś, w czyjej głowie ulągł się właśnie gienijalny pomysł tego wydawnictwa, przypisał ją panu Pileckiemu, i odtąd z arogancyją i bezczelnością wytacza mu boje śmiertelne.

Dziwimy się, że „Kolce," które posiadają tak wielką obfitość współpracowników (bodaj czy nie więcej jak prenumeratorów), nie robią między nimi lepszego wyboru, i że pozwalają rozpisywać się u siebie jakimś tam *Babiystom*, którzy je zamiast dowcipem arogancyją zasilają. Takich strzedz się wypada, gdyż tylko ujmę pismu przynoszą i bynajmniej nie przyciągną czytelników. Na takie indywidua spływa natchnienie humorystyczne na *Saskiej Kępie*. Posłyszeli kilka płaskich dowcipów, które się im naturalnie podobały, bo za młodu do nich

porównania) do rzeczywistego kapitału, literaturę do procentowych jego papierów...

Kto pragnie spotęgować strumień musi myśl zwrócić ku jego źródłom. Lecz literatura tem różni się od strumienia, że za cel bezpośredni ma źródła swoje i na ich pożytek swe siły obraca. Najbliższym zasadniczym pożytkiem piśmiennictwa jest umysłowe i moralne dobro czytającego ogółu, i rozszerzanie go zarazem. Pierwszą część literatura nasza stara się spełnić, o ile dozwala jej możność uwarunkowana przez swą własną naturę, zależną od społeczeństwa, z którego łona wyrasta, przez wzmacniające się dopiero zwolna potrzeby ogółu i rozmaite względy, które porzuciwszy istnieć by nie mogła. Wzrost jej i rozwój mniej świetny może i pewny, niżby pragnąć trzeba — nie od niej zależy. Geniusze i wielkie talenta nie wyrastają jak grzyby po deszczu, żywotność sił społecznych tworzy je. Pracujmy i miejmy nadzieję!

Lecz druga część działania literatury, nie odłączna od pierwszej a leżąca w możności ludzi pracujących w literaturze i tych, którzy dbają o dobro społeczne — rozszerzenie czytającego ogółu, a rozszerzenie go drogą rozumną, zacną i prawidłową — leży zapomnianym odłogiem. Umiejących czytać stosunkowo znaczną mamy liczbę — mających klucz do oświaty, a nieużywających go zgoła. Masy całe w społeczeństwie naszem nie czytają, i stoją odgraniczone wysokim murem od światła. Dla czego nie czytają? Odpowiedzi można by dać mnóstwo: nie czują potrzeby czytania, nie pojmują celu swej prostej umiejętności, nie mają zwyczaju do czytania, nie doróśli do gteo i t. p. Lecz wszystkie te odpowiedzi zbiegają się w jednej: *nie mają co czytać!* Tak jest, literalnie *nie mają*. Niech kto potrafi wyliczyć kilka bodaj książek, choćby broszur któreby człowiek bez wykształcenia a nawet z elementarnymi początkami oświaty mógł czytać z zajęciem i pożytkiem?

Czyliż pójdzie przetrząsać księgarnie i antykwarnie dla wyszukania jakiej mdłej manierowanej tendencyi książeczki zapomnianej, lub zaciekawiać się będzie utworem, który wykształceńszego nawet czytelnika ożywionego najlepszą chęcią do ziewania tylko pobudzi?

Narzekamy że lud nie chce czytać! On nie ma co czytać. Nie umiano przemówić doń, nie umiano mu podać druku do ręki. Obawiamy się, że lud książki nie kupi. Nie czekajmy aż z trucizną i brudem rzucą się nań przemysłowcy, dotąd wyzyskujący wśród niego zabobon i ciemnotę!

Antoni Mirski.

Wczoraj i Dziś

(z notatek uniwersyteckich swojego kuzyna)

przepisał

Stanisław Wolski.

„Cudne to było to nasze grono
Z tą myślą wiecznie w niebo wzniesioną
I z tem ramieniem młodzieńczem hardem
Co krawędź nieba, z krawędzią świata
Sili się spoić—wierząc że zbrata."

„Farys."

(Ciąg dalszy).

Trochę był filozofem doktrynerem, powiem nawet wpewnych kwestyjach fanatykiem i idealistą. Praktycznego wygodnego życia nie rozumiał, nie chciał rozumieć wcale. Nigdy nad tem nie myślał jak zaprowadzić oszczędność w wydawaniu pieniędzy, zewnętrzność, powierzchowna szata bardzo go mało obchodziły. Zapomniany od natury, wiedział iż tylko na śmieszność by się wystawił, gdyby tą zewnętrznością chciał imponować ludziom. Średniego wzrostu, dość silnie zbudowany, miał spiczastą głowę osadzoną na cienkiej szyi, głowę przykrywały ciemne kędzierzawe włosy zwykle krótko przystrzyżone. Tuż pod niskiem czołem były umieszczone małe oczy, zawsze jakoś dziwnie patrzące. Był jednym z tych ludzi, których powierzchowność najgorsze robi wrażenie, zbliż się, pogadaj, odchodzisz inny. Każdy przystępujący do niego, zdradzał nieufność, nie przypuszczał, aby te małe oczy mogły szczerze kochać, aby ta nieukształcona figura była pełną poświęceń i przymiotów duszy, aby ta ciężka i niezgrabna ręka mogła po bratersku dłoń uścisnąć i nie odmówić swej pomocy, gdy zachodziła tego potrzeba. Jeżeli Mieczysław odrzucał powagi i dążył do samodzielności, Oleś przechodził go pod tym względem i w tym nastroju będąc od dawna śmiał się z głupstw i drobiazgów umysłowego świata preceptorów. Był przez nich nielubiany powszechnie. Zdradzał wielką zdolność i ochotę do matematyki. Jeszcze w gimnazyjum zapuszczał się w badania abstrakcyjne i metafizyczne o budowie wszech świata, chcąc dociec początku początków. Tego rodzaju zajęcie dla młodego umysłu poczęło być szkodliwe. Z marzenia przeskakiwał w marzenie, z idei w ideę. Za mało jeszcze umiał, aby coś stworzyć, obaliwszy zaś z gruntu dawne, znalazł się raptem jak człowiek wśród nocy na nieznanej mu drodze. W takim był stanie gdyśmy opuszczali gimnazyjum. Wspominałem wyżej iż był bardzo dowcipnym. Miał dowcip swego rodzaju. Nazwałbym go „krótkim" był taki okolicznościowy i obracał się w pewnem kółku rzeczy nam dobrze znajomych. Po za tem humor jego nie miał wartości. Przytaczać jego dowcipy byłoby trudno. Czasem było nic, ale gdy przybyły akcesoryja mianowicie nieszczęsna mina, ruchy rękoma, modulacyje charakterystyczne głosu, marliśmy ze śmiechu. Takim był nasz Jan w Oleju.

Julek, ten schował się na końcu, z mojej to winy, nie wiem dla czego piszę o niem dopiero tutaj. Nie wiem dlaczego, bo uważam, że względem całego społeczenstwa on już wtedy najwięcej wart był uznania z nas wszystkich. Miał prawie wszystkie zalety Gustawa, nie miał tylko wad jego. Tamten projektował, kochał, śmiał się. tańczył, ten każdy projekt starał się oprzeć na realnych warunkach bytu, okiem trzeźwego

---

przywykli, i tam ich losy na humorystów skazały. Nie powinienby na uprawę takiej łobuzerki literackiej pozwolić jednak p. J. M. Kamiński, Redaktor odpowiedzialny Kolców, Magister prawa i Administracyi, Patron Trybunału i Kawaler orderu. Toć to do tylu godności nie przystoi!

A teraz przystąpmy do zwykłej wstępnej naszej pogadanki.

W ciemnych barwach przedstawiają się nam dzieje chwili obecnej. O cywilizacyjo ty wszechwładna pani, co stworzyłaś uczonych poetów, felijetonistów, pozytywistów, materyjalistów, spirytualistów, idealistów, słowem różnego rodzaju *istów*, których pewien pobożny nauczyciel razem ochrzcił piekielnem imieniem *massonów*! O cywilizacyjo, czemuż z drugiej strony wyprodukowałaś postępowych komunistów, przed którymi stare nasze zamki ostać się już nie mogą? Czemuż pozwalasz na to, aby połowa szpalt najszlachetniejszych organów prasy była zajętą ogłoszeniami o zwycięztwach tych mężów? Czemuż raczej, o wszechwładna pani, nie wyprodukowałaś mężów, którzyby zamiast ulatniania naszych ruchomości, ulatniały raczej weksle z kieszeni wierzycieli, dłużników z cichego schronienia na Lesznie i kontrakty najmu lokali z bióra *kamieniczników*. Cywilizacyjo, czyś ty się sprzysięgła na nasze nieszczęście!

Ale *à propos* kamieniczników, i ceny lokalów, rozmaicie to o tem mówią. Jedni utrzymują, że nadejdzie wkrótce ta błoga chwila, kiedy każdy bogaty obywatel nie będzie się musiał rujnować na taki zbytek, jak schronienie swej egzystencyi, która przecież nie powinna hartować na łonie natury, pod gwiazdzistym niebios obliczem, poić się rosą niebieską i używać bezpłatnej kąpieli. (Coś papa Rousseau się nam przypomina). Inni znowu bardziej pessymistycznie zapatrują się na rzeczy, dowodząc, że cena komornego ma się w odwrotnym stosunku do wielkości bułek, jakiemi obdarzają nas panowie piekarze w szlachetnej pieczołowitości o nasze zdrowie. Panowie ci utrzymują również, że kamieniczniki budują nowe kamienice bynajmniej nie z filantropii i nie dla starych mieszkańców Warszawy, ale dla nowych przybyszów, którzy zaledwie znajdą w nich dostateczne pomieszczenie. Nie wdając się szczegółowo w te ekonomiczno-społeczne wywody, przejdźmy do innych dziejów chwili obecnej.

Będziemy podobno mieli wkrótce tak oddawna obiecany teatrzyk francuski. Niejaki p. G. który, jak powiada jedno z czasopism naszych, „pierwszy dał poznać warszawianom rozkosze francuskich piosenek," wziął na siebie zaklimatyzowanie u nas nadsekwańskiej Melpomeny. *Laudanda voluntas!* Co to znaczy chęć przysłużenia się społeczeństwu i wysokie pojęcie jego potrzeb duchowych!

Od francuskiej Melpomeny przejdźmy do naszej. Dziwne się niekiedy rzeczy dzieją w miejscowym jej przybytku. Oto odbyła się tam tragi-komedyja. Początek przed kilku laty.

U wrót świątyni sztuki staje pokaźny dosyć płód twórczości dramatycznej i stuka, prosząc, aby go wpuszczono. Odźwierny, a raczej największy dygnitarz państwa muz spoglada z góry na nieznanego przybysza.

pracownika na niwie dobra publicznego odnajdywał słabe strony młodzieńczych porywów. Dojrzał przed czasem. Bez zaprzeczenia stał wyżej od nas wszystkich, gdyż skończywszy gimnazyjum był już *człowiekiem*. Jakże nam wszystkim daleko było od tego. Kiedym potem w kilka lat patrzał na niego, pytałem siebie ze zdziwieniem czy on już od owego czasu nie postąpił. Zaiste więcej umiał, ale rozsądniej już nie czynił. O nim zawsze w żartach mówiliśmy, że starym i doświadczonym się urodził, że dzieckiem nie był, że rodzice musieli mieć z nim biedę, gdy przyszedł na świat, bo pewno i taki duży był jak teraz. Śmiał się wtedy razem z nami, śmiał się tak jak się już później człowiek nigdy nie śmieje i patrzał na nas jak na młodszych braci którym przewodniczyć być jej opiekunem zawsze sobie za najświętszy uważał obowiązek. Zobaczymy potem jak rozwinął tę opiekę i czem był dla naszego kółka. Kiedy sobie dziś jeszcze przypomnę tę twarz szlachetną z uśmiechem dobroci na ustach, a tak spokojną i czystą jak kryształowe wody spokojnego jeziora, po latach tylu, kocham go jeszcze i szanuję. Podajcie mnie wszyscy dłonie, kochani moi, zbratani w tym długim uścisku, przeżyjcie w pamięci mojej do grobu i swym przykładem wiedźcie mię po trudnych szlakach życia. Zdaje mi się, żem wszystkich odmalował. Prawda! zapomniałem o tem małem: *ja*. O tem *ja* dla którego Szeling i Fichte pisali całe tomy bredni czytanych przez poczciwców o tem *ja*, na śmierć zapomniałem.

To *ja* nie było nic nadzwyczajnego, średnio się uczył, średnio bawił, miał dużo dobrych stron, dużo złych i jedną wielką zaletę: nie zazdrościł lepszym i rozumniejszym lubił ich towarzystwo i talentowi i zasłudze zawsze oddawał sprawiedliwość. Uznawał wyższość drugich, obcując z niemi, słuchał ich, przejął się ich życiem i wyniósł z tego czasu te wskazówki maksymy jakie go przez ciąg całego życia nie opuszczały. Bodajto młodość! co ona zachowa nigdy nie zginie.

Takie to były mniej więcej chłopcy, raczej dzieci, za któremi zamknęła się po raz ostatni brama gimnazyjalnego gmachu i którzy mogli sobie z dumą powiedzieć, że wstęp skończony i do Rozdziału I-go przejść wypada. Za nami co? ha niech ich tam, za nami nic nie zostało, przed nami wszystko! Więzień wypuszczony na wolność, najprzód przeciera oczy, zaczerpuje zbolałą piersią powietrza, zanim pójdzie do przyjaciół, zanieść im radośną nowinę. Czemubym tych kilkunastu młodych głów pełnych zapału i życia nie przyrównał do tego więźnia. I oni nie wiedzieli co przedsięwziąść. Byli w tym stanie, gdzie to człowiek gwałtem przypuszcza że ma skrzydła, dość mu sprobować, aby gdzieś w sfery niebieskie wylecieć, gdzie to śmiejemy się sami do siebie jakimś dziwnym przytłumionym śmiechem radości i szczęścia. Dziwne dziwne to chwile!...

ROZDZIAŁ II.

Alem ja się zapędził, zapomniawszy na śmierć, żem moję gromadkę pozostawił na ulicy, idącą zdaje się bez celu. Wszyscy milczeli. Karol pierwszy przerwał.

— Niech dyjabli wezmą tego P. trzymał nas do południa, jeść mi się chce jak księdzu po mszy, jak na złość ten żakoski mundur jeszcze pokrywa moje ciało. Niech go!... Wymowny giest towarzyszył słowom i za chwilę mundur był rozpięty, a połowa guzików skutkiem silnego szarpnięcia potoczyła się po bruku.

— Zawsześ waryjat!—mruknął przez zęby Oleś.

— No gdzież nareszcie idziemy — zapytał znów Karol, stając naprzeciw nas wszystkich i zagradzając niejako drogę, przecież spodziewam się że tu się nie pożegnamy.

— Nie, nie, nie! zawołano chórem.

— Wiecie co! mam wyborną myśl — ciągnął dalej Karol, nie ustępując się z drogi towarzyszom, jesteśmy teraz w mundurach prawda, to głupia rzecz nawet i połobuzować się nie można, ale zróbmy tak: zanieśmy naszym pryncypałom te zwinięte w trąbkę bibuły, zjedzmy obiad i o trzeciej godzinie w *alei westchnień* w ogrodzie schodzimy się wszyscy niezawodnie. Nie potrzebuję wam mówić dodał, że wszyscy będziemy po cywilnemu, czy kto może czy nie, radźcie od czego są krawcy, wreszcie może od starszego brata pożyczyć, tylko koniecznie tak jak mówię teraz do widzenia. Tylko proszę nie zapomnijcie „po cywilnemu“ dodał krzycząc, a jeśli któremu pilno, niech do tego czasu sprzeda swój mundur i książki, tylko niewiem czy podobnie głupiego żyda znajdzie, jeżeli wszystkie mundury podobne mojemu. Tu pokazał świecące dziurami obadwa łokcie.

— Najgłośniejszy! najgłośniejszy! powtarzał sentencyjonalnie Oleś. Rozeszliśmy się.

Gdy trzecia godzina z południa wybiła, zaczęliśmy powoli zgromadzać się na miejscu schadzki. Zdziwienia było bez liku, śmiechu więcej jeszcze, wszystko zaś to odnosiło się do cywilnych przebrań, w jakicheśmy wystąpić musieli.

Przybyłem pierwszy, nikogo jeszcze nie było. Za chwilę wtoczył się Karol, przez kilka ulic dojrzałem jego grubą i niespokojną figurę. Przechodząc koło spacerujących wyprawiał pantominy godne najlepszego ulicznika. Gdy się do mnie przybliżył, mogłem obejrzeć jego kostyjum, podczas gdy on bez przerwy, bawił mię opowiadaniami nadzwyczajnych zdarzeń, jakie go spotykały po odejściu. Najważniejszem było to, że zdołał od jakiegoś jak on nazywał, frajera pożyczyć parę rubli na drogę i z tego powodu jutro wyjeżdża. Jego kostyjum był doskonały, szerokie popielate i zniszczone pantalijony okrywały jego grube nogi, kamizelka kolorowa do gorsu uwydatniała wypukłe piersi i jeszcze wydatniejszy brzuch, koszula jak zwykle koloru ziemi, po której stąpał, krawat odpięty i przekręcony na drugą stronę, buty czyszczone na ostatnim egzaminie (tydzień temu) przytem spocony, umorusany, zdawał się być wypuszczony z jakiego zaczarowanego miejsca, gdzie porządek w u-

— Jak się asan nazywa?—pyta opryskliwie.

— Febris aurea!

— A kto go rodzi?

— Zygmunt Sarnecki!

— Nie mam przyjemności znać. W herbarzu znakomitości literackich nie czytałem tego nazwiska.

— Niech pan mi się bliżej przypatrzy, a zobaczy, że mogę się nieźle zaprezentować w przybytku sztuki. Nie mam wprawdzie na sobie wykwintnego kostyjumu, który sprowadzacie pono aż z Paryża z fabryki p. Offenbacha et Comp. i nie umiem tańczyć kankana, ale umiem za to wiele interesujących rzeczy i mój papa przyoblekł mnie w bardzo przyzwoite szaty.

Nic jednakże nie pomogła ta elokwencyja.

Oddźwierny nie wpuścił „Febris aurea“ do przybytku sztuk. Biedaczysko poszło sobie gdzieś do kąta. Później przyszli inni jego bracia, i chociaż mniej może od niego byli godni, lepiej się im jednakże powiodło.

Po kilku latach „Febris aurea“ wylazło z kąta i poszło do skromniejszego przybytku sztuki, gdzie było gościnnie przyjęte i uznane przez krytykę i publiczność. Wtedy to nastąpił drugi akt tragi-komedyi. Zmiana dekoracyi. Pokoik autora dramatycznego. Gospodarz siedzi przy stoliku a przy nim „Febris aurea.“ Wchodzi oddźwierny miejscowego przybytku sztuki, daje buzi „Febris aurea“ i kłania się z pokorą papie. Scena milcząca... Zasłona spada. Niechaj sam czytelnik resztę w swej duszy dośpiewa!...

My tymczasem przypatrujemy się nowej instytucyi, zatytułowanej szumno „Szwajcarskiem Towarzystwem Dobroczynności.“ Brawo! Więc panowie szwajcarzy, którzy się wcale nieźle u nas zbogacili, chcą odwdzięczyć się społeczeństwu naszemu za szczodrze udzielony im kawałek chleba. Nie sądzimy bowiem aby owa dobroczynność była „dla szwajcarów,“ ale zapewne „od szwajcarów.“ W przeciwnym razie musieliby chyba posyłać zebrane grosze do krainy serów i rogacizny.

Na zakończenie jeszcze jedna nowinka. W zeszłym tygodniu zwolennicy śpiewu mieli przyjemność admirować w Alhambrze młodziutki i świeżutki, ale dźwięczny i dosyć już wyrobiony głosik panny *Wandali*, która bynajmniej nie przybyła z krainy cyprysów i pomarańcz, ale jest oto zwyczajną sobie warszawianeczką. Młoda amatorka wykazała niemałe zdolności wokalne. Głos jej przechodzi w czyste dźwięki metaliczne, aczkolwiek gdzieniegdzie w gardłowe wpada tony. Skala jego nie wielka i niewłaściwa dla ogródkowego popisu. W każdym razie, jeżeli p. W. obierze sobie nadal zawód artystyczny, może dojść do pięknych rezultatów, posiada bowiem niepospolity materyjał, który przy większem wyrobieniu, może obdarzyć swą właścicielkę laurem prawdziwego artyzmu. P. W. wykonała trudną dosyć aryję z opery Favoryta: „O mio Fernando,“ dalej śpiew dramatyczny Donizettego „Martwa“ i dwie ładne piosenki: Żeleńskiego „Posyłka“ i Wekerlina „Kwiat Alpejski.“ Prócz tego nad program usłyszeliśmy z prawdziwie artystyczną wibracyją głosu odśpiewany walczyk de Latoura: „Non mon Segneur,“ który na żądanie został powtórzonym. Psuła tylko nieco efekt zła wymowa francuska. Na fortepijanie akompanijował znany kompozytor muzycz-

braniu ściśle jest zabroniony. Szerokie plecy przykrywał tabaczkowego koloru poplamiony tużurek, a na głowie z fantazyją ku lewej stronie przechylony, spoczywał zakurzony i połamany cylinder. Zmiłuj się człowieku, toż to twoje cywilne ubranie? myślałem że pozbywszy się munduru dasz za wygraną i studenckim narowom, tym czasem wyglądasz jak wypuszczony z policyjnego aresztu i dziwię się że służba porządku wpuściła cię do ogrodu

Dałbym ja im odpowiedział.

Nie było co z nim robić. Zresztą —dodał— cóż mię to może obchodzić, ot lepiej wartoby urządzić coś w guście kawalerskiego pożegnania. Będzie tam naturalnie to i owo,— cmoknął językiem jakby na lepsze uplastycznienie tego co go czekało na tem pożegnaniu Bo to widzisz—trzepał dalej, całego rubla oszczędzić jeszcze mogę do jutra, a jak mam rubla w kieszeni, to kiep świat a na nim ludzie Ale otóż i nasz poczciwy Jan w Oleju. I to powiedziawszy ze zwykłą posuwistością posunął się do idącego poważnie Olesia—Nie poznałbym Cię mówił do niego, co to jest ubranie wyglądasz jak pierwszy dandy, wiesz co tylko ten czarny tużurek to by jeszcze w swych ramach twego młodszego brata mógł pomieścić, ale to na wyrost, po gospodarsku zrobione. Śmiejesz się z mego tużurka a sam wyglądasz jak postrzelony—odgryzł się Jan w Oleju. Powoli zaczęli nadciągać inni. Przy każdym były te same powitania, dziwienia, obracania na wszystkie strony. Józio przez prędkość wziął na głowę kapelusz ojca i literalnie schował się cały w jego obwodzie. Gucio zapomniał rękawiczek a osobliwie laski której przy rozprawianiu z powodzeniem używał. Każdemu te nagłe przestrojenie się było zupełnie nie do twarzy. Wszyscy w tych kostyjumach byli jak w pożyczanych lub kradzionych, trudno było od razu nazwyczaić się do nich. Jeden tylko długi Adaś był w porządku, sztywny, wykrochmalony jak zwykle. Pełni radości i jakiegoś zapomnienia poczęliśmy gwarzyć wesoło, gdy pierwszy odezwał się Julek: Moi panowie jeżeli ten dzień ma być ostatnim dniem naszego widzenia się, jeżeli dziś mamy na wieczne czasy pożegnać miłe gimnazyjum, to uważcie dobrze iż miejsce wybraliśmy nie zupełnie stosowne i wartoby udać się tam, gdzie na nas nikt patrzeć i oglądać nie będzie. Tak! tak! dobra rada—wołano,—gdzieindziej, gdzieindziej. Tak ale gdzie? Do C. S. K., wyrzucano projekta. Po debatach stanęło nareszcie że pojedziemy do C. Gdy uspokoiliśmy się trochę i zasiedli wokoło jednego stołu, śród czarownego zapachu kwiatów, upajającej natury i jasno zachodzącego słońca, uspokoiły się jakoś dusze nasze, każdy spoważniał i w milczeniu znów pobiegliśmy myślą przed siebie. Nie jednemu może błysnął rodzinny domek, biały, nizki w drzew zieleni, na progu którego stała rozrzewniona matka i siostry wyglądające powrotu kochanego jedynaka. Nie jednemu może te kwitnące kwiaty, ta woń powietrza przypomniały lata dziecinne, młodociane zabawy, nie jednemu może, któż to wie, błysnął rąbek dziewiczej jakiej sukienki, anioła jakiego wypieszczonego w marach młodzieńczej fantazyi? Kto to wie? wszak młodzi byliśmy? Eh do dyjabła z tym pięknym czasem, zawsze nas tak głupio nastraja powiedział sztywny Adam, wszystko to jednopanowie zdaje mi się że nie zawadzi wypić za pomyślność poczciwej braci naszej na wieczną jej zgodę i przyjaźń. A ja dodam panowie mówił podnosząc się Julijan, za pomyślność tych wszystkich którzy na niwie wiedzy i publicznego dobra nigdy pracować nie przestaną. Zdaje mi się panowie że wszyscy jak tu jesteśmy spotkamy się na ławie uniwersyteckiej, zdaje mi się że żaden z was nie daje już za wygraną pracy i mozołom, że uważa obecną chwilę tylko jako przejście do poważniejszych studyjów do szerszej pracy. Zdrowie więc wszystkich tych którzy nigdy nie zapomną długu jaki względem społeczeństwa zaciągnęli, zdrowie wszystkich tych którzy dalszy trud i pracę na ołtarz ogólnego dobra poniosą. Teraz panowie dosyć.

I udaliśmy się do domu każdy gdzieindziej nucąc pod nosem:

Czas do domu czas
Zabawili nas.

Na drugi dzień prawie żadnego z nas nie było w Warszawie.

d. c. n.

Urywek z pamiętnika

PRZEZ

Adolfa Jankowskiego.

(ciąg dalszy).

Ale i następna noc w pałacu nie była o wiele spokojniejszą, i znowu ordynans do nowej należał wyprawy towarzysząc rodzicom moim.

Pokoje frontowe w oficynie zajmowane przez nas ciągnęły się w anfiladzie. Że zaś były to pokoje gościnne, sypialnią rodziców zakończone, zatem dla wszełkiego bezpieczeństwa zostawiono je na noc między sobą otworem.

Matka, powstawszy z klęcznika od pacierzy znużona niewypowiedzianie i uciążliwemi przeprowadzinami temi, i bezsennością, wśród zeszło nocnego ognia, zaczęła się rozbierać spiesznie, aby tylko co prędzej udać się na spoczynek.

Ale, skoro przytknęła głowę do poduszki, słyszy na raz niezwykłe kołatanie po pokojach a w ciemnościach wydające się głośnem człapaniem starca jakiegoś w pantoflach, wspierającego się na kiju.

Matka, jak i cały dom nasz nie znała trwogi i tylokrotnie dotykalne dawszy jej w życiu dowody, pragnęła i teraz sprawdzić, coby to było takiego?

Usiadła zatem na łożu, obok ojcowskiego stojącem i zaczęła bacznie nasłuchiwać. Ale słyszała ona tylko to nieustanne człapanie a na zapytania jej nikt nie odpowiadał.

---

ny pan *Ksawery Syrewicz*. Publiczność hucznymi oklaskami wynagrodziła młodą amatorkę.

— Cóż to szanowny lingwista taki jakoś zagniewany!

— Wyobraź sobie łaskawco, ci artyści starają się gwałtem dowieść że sztuki piękne nie mają nic wspólnego z ortografiją. Wracam z Wystawy!

— No i cóż tam zobaczyłeś?

— Kilka pięknych byków ortograficznych, które snać jakaś dobroczynna ręka poprawiła czerwonym ołówkiem.

— Daj im pokój! Trudno być razem artystą i lingwistą, wielbicielem piękna i ortografii!

Będziemy mieli organ, który w starożytnej mowie synów ziemi obiecanej ma rozsiewać nasiona wiedzy i przelewać światło postępu w owe przybytki myśli, gdzie dotąd panowały wiecznie ciemności egipskie. Jakie będą tendencyje czasopisma „Hacfiro“ (mówiąc nawiasem, tytułu nic a nic nie rozumiemy), redagowanego przez p. Ch. Z. Słonimskiego, o tem jeszcze nie wiemy. Zrobimy tu tylko maleńką uwagę. Dla kogo będzie p. S. wydawał pismo w języku hebrajskim? Ci którzy tylko po hebrajsku czytać umieją, z pewnością nawet czasopisma „Hacfiro“ czytać nie będą, chyba gdyby były tam jakie uczone cytaty z talmudu; tym zaś, którzy umieją czytać po polsku, nie godzi się dawać hebrajskie pismo, dla tych jest już „Izraelita,“ lub mogłoby być jakie popularniejsze od niego pisemko.

Znany już z literackich prac swoich p. *Bron. Grabowski* wydał obecnie we Lwowie tragedyję w 5 aktach p. t. „Mściwój i Swanhilda.“ Nie przesądzamy z góry wartości tego utworu, zaznaczymy tu tylko, że p. G. oddawna zajmuje się sumiennymi studyjami historycznymi, a dzieje Słowian nadelbańskich najbardziej go interesowały. Zobaczymy, czy umiał autor z właściwym talentem skorzystać z materyjału, jakiego mu sumienne długoletnie studyja obficie dostarczyły.

W jednym z przyszłych Nrów damy szczegółową ocenę utworu p. Grabowskiego.

Zarzut „Gazety Handlowej,“ czyniony naszej prasie co do tendencyjnego przemilczania ofiary p. Scheiblera, przemysłowca w Łodzi złożonej w sumie rs. 1,000 na rzecz pogorzelców Królestwa, uważamy co najmniej za zbyteczny i przedwczesny. Fakt ten, że ofiarodawca jest niemieckiego pochodzenia, nie tylko tendencyi takiej obudzić nie mógł, lecz przeciwnie na szczery poklask zasłużył, tym żywszą budząc sympatyję iż jest rzadkim dowodem poczuwania się do obowiązków obywatelskich wśród ludzi, których zwykliśmy podciągać pod chorągiew „Drang nach Osten“ Czyn tak piękny na serdeczną zasługuje podziękę—a choć zawstydzić może wielu, umyślnego przemilczenia nie znajdzie zapewne w żadnem z pism naszych.

Jako miły szczegół w kwestyi składek na pogorzelców naszych przytaczamy też takt nade-

Matka zaintrygowana tem wszystkiem niesłychanie, przetarła sobie oczy, i gdy dziwne stukanie to nie tylko że na chwilę nie ustało, ale ponawiało się jeszcze czasami tak głośno i blisko łóżka, że matka rękę z pościeli kilkakrotnie na pokój wyciągnęła, sądząc że winowajcę pochwyci, zniecierpliwiona więc zbudziła nareszcie ojca, zawiadamiając go o wszystkiem.

— Nie używano wtedy zapałek i u rodziców też na stoliku między łóżkami, stała tylko zwykła maszyna elektryczna, z dużem szklannem kołem na korbce umocowanem. Za jednym zatem obrotem koła, pokazał się na stoczku ogień, i gdy rodzice zapalili świecę woskową rozpoczęli natychmiast poszukiwania swoje.

Co miną atoli pokój który, człapanie rozlega się w następnym; dojdą znów do ostatniego człapanie słychać w tym co go przed chwilą opuścili, i ani sposób rozwiązać zagadki.

— Sacré nome de Dieu! — klął ojciec rozgniewany próżnemi poszukiwaniami, i schylając się ze świecą pod szafy i komody.

Co tu u licha takiego wojuje? Boję się rozbudzać sług, aby nie robić popłochu, a jednak, trzeba by nam kogoś trzeciego znaleść do pomocy, coby drugich drzwi pilnował, gdy ty na środku staniesz ze światłem, mówił oddając matce do rąk świecę.

— Naturalnie jeśli rozbudzisz sługi—odpowiedziała matka — to rozniosą natychmiast bajki o strachach: ale masz na to jeden sposób.

— Jakiż?

— Maciej zapewne dziś w stajni nocuje, bo gorąco na dworze.

— Tak jest.

— Więc idź-że do niego i obudź go.

— Masz racyją.

I ojciec zapaliwszy latarkę wyszedł na podwórze, a gdy rozbudzony ordynans, ubrał się w trzy migi, w kilka minut przyprowadził go za sobą, mówiąc po drodze do niego.

— Pomożesz nam Macieju szukać — stracha!

— Stracha?... A co też to Wielmożny Pułkownik mówi, alboż to strachy są na świecie?

— Juściż są kiedy nam przeszkadzają, żartobliwie odpowiedział ojciec.

— Ale skoro złapię stracha,—oj!... wytataruję ja mu skórę!

— To, to, to, panie pułkowniku, niech nam nie przeszkadza — mówił Maciej, szczelnie zamykając za sobą drzwi i klucz w zamku zakręcając.

— Nie uciecze nam teraz rybka, zaręczam za to.

I poszukiwania rozpoczęły się znowu, jak na teraz, już z Maciejem. Matka świeciła, a ojciec i Maciej szperali po kątach.

Lubo jednakże przetrząsali każdy pokój starannie, a troskliwie drzwi za sobą zamykali nic nie wyśledzono, i próżne były ich zabiegi, I chociaż Maciej trzymał w rękach latarnię a ojciec drugą zapaloną świecę w ręku to:

„Czort swoje, a pop swoje.“

I sztukało coś nieustannie, albo w tym pokoju z którego wyszli przed chwilą albo w tym ku któremu zmierzali.

Ojciec rozgniewany do żywego, klął ognieście swoje: „Sacre nome de Dieu!“ a matka, nie przesądna, krzyżem świętym przecież już się że gnała.

Ale stary ułan, ze zwykłym sobie rozsądkiem i cierpliwością usadowił się w kącie jednego pokoju, przykucnąwszy i przysłoniwszy ręką latarnię czekał i uważał bacznie.

Przeszło tak może kilka minut w czasie których rodzice plądrowali tymczasem po innych pokojach.

Nagle, Maciej zerwał się z miejsca i skoczył naprzód, przydybawszy złoczyńcę. Pochwycił on go za....ogon, w tej właśnie chwili, kiedy tamten milczkiem przed nim umykał.

— A ha!... złapałem cię ptaszku... mam cię nakoniec!.. A pójdź no tu, pójdź do mnie — madrepory.

Tak wołał ciągnąc za ogon z pod komody na środek pokoju ciemno-burego kota, który piastował pułapkę w pazurach.

W pułapce była uwięzioną mysz, i rzecz cała natychmiast się wyjaśniła.

Poprzedni lokatorowie, przez zapomnienie zapewne zostawili w mieszkaniu naszem pułapkę w którą mysz przypadkiem dostała się. Kot domowy, chcąc się dobrać do myszy, złapał pułapkę w zęby i łaknący zdobyczy, na moment jej nawet popuścić nie chciał.

Ale zęby kocie, za słabe były do udźwignięcia takiego ciężaru. Uciekając zatem z łupem, to powłóczył razy parę pułapkę po ziemi to stawiał ją znowu. I wydawało się to słuchającemu tak, jakby starzec jakiś człapał pantoflami i kijem podpierał. Że zaś rodzice moi przed siebie tylko patrzeli nic dziwnego zatem że burka schwytać nie mogli gdy im cichaczem pod nogami wysuwał się.

Chociaż jednakże zdarzenie to całkiem się już wyjaśniło bynajmniej wyjaśnienie owo nie przeszkodziło do obszernych narad służących, zaraz od rana następnego dnia w sklepiku straganiarki pałacowej, a pani Marcinowa, szeroko i stanowczo rozwodziła się nad tem, jak to tam nieczysta jakaś działała siła. I przypomniała sobie nawet że: gdy raz sługa nasza przyszła do niej późnym wieczorem z koszyczkiem po bułki, trzymając czarnego kota owego na ręku, a ona go od niej wzięła dla zabawki i pod włos pogłaskała to tak tam się iskry sypnęły z niego, że aż go wystraszona precz rzuciła od siebie.

— O, tak, tak, moje drogie, kończyła pani Marcinowa z determinacyją, to tylko nieczysta siła takie cuda robić może!

I zamilkła z sensacyją, wśród głuchego dokoła panującego milczenia obecnych dla których pani Marcinowa niewzruszoną była powagą.

Długo jeszcze potem, roznosiła się między służącemi obawa, chodzenia po pokojach naszych gościnnych bez światła po nocy. A wiejska dziewucha jedna, która służyła w kuchni za pomywaczkę, posłana raz bez

---

słania ofiary 200 franków z „Sophie“ w Turcyi od rodaków i cudzoziemców pracujących tam przy budowie drogi żelaznej.

Prof. Łepkowski zięć ś. p. Karola Libelta, odziedziczywszy po nim całą spuściznę literacką, zamierza prowadzić dalej kompletną edycyją dzieł zmarłego filozofa, zaczętą jeszcze za życia jego, rozpoczynając na nowo 6-cio tomowym wydaniem „Estetyki i Filozofii“ u Żupańskiego w Poznaniu. Nie o znalezienie nakładcy chodzi tu już, lecz o wybór takiego ze zgłaszających się, któryby zadość mógł uczynić wymaganiom tak ważnego i obszerne go wydawnictwa. Całość edycyi dzieł ś. p. Karola Libelta pomnożona niewydanemi dotąd jego pismami składać się będzie z 20 tomów. Oprócz Estetyki i Filozofii znajdować się w niej będzie 8 tomów „Rozpraw i pism pomniejszych,“ 2 tomy „Matematyki“ 1 tom „Humor i prawda,“ 1 tom „Dziewicy Orleańskiej“ i 2 tomy „Mów i Listów.“ Nadmienić przy tem wypada że w Poznaniu zbierają się składki na wystawienie pomnika dla nieodżałowanego filozofa i publicysty.

Mała rzecz—a rzuca światło na sposób w jaki traktują się sprawy ogólnego znaczenia.

Nr. 156 Gazety Warszawskiej podał zatrważającą do pewnego stopnia wiadomość o pojawieniu się w okolicach Radomskich szarańczy. Wielu pesymistom naszym przybył nowy przyczynek do narzekań.

— Pożary, grady nieurodzaj i jeszcze szarańcza w dodatku—mówił ten i ów przeczytawszy wiadomość „Gazety Warszawskiej.“ Co to będzie, co to będzie!...

W parę tygodni po tej wieści w „Gołosie“ znaleźliśmy urzędowne sprostowanie mylnej pogłoski a w 196 dopiero Nrze Gazety Warszawskiej znalazła się jakaś poczciwa dusza która oznajmiła w błąd wprowadzonej Redakcyi i publiczności że mniemaną szarańczą są najniewinniejsze w świecie koniki polne, znajdujące się zawsze po polach i nie czyniące krzywdy nikomu.

P. Zofija Grabowska rozpoczęła wydawnictwo powiastek dla młodocianego wieku tłomaczonych z angielskiego pod tytułem: „Seryja Lilijowa,“ a przeznaczony na noworoczny podarunek. Będzie to pożyteczny zapewne przyczynek do ubogiej u nas treścią literatury dziecinnej.

W Piotrkowie, jak powiada Gazeta Polska „gorliwie i na seryjo“ pracują nad uorganizowaniem straży ogniowej.

— Dopiero? Gdy już minęła najgorętsza pora pożarów! zawołać gotów pesymista. Zapobiegając więc niekorzystnym wnioskom z tego faktu, mogącym dotyczeć przyzwyczajenia naszego do przysposabiania wszystkiego „w porę“— spieszymy zaznaczyć postęp w przedsiebierczości. Wszakże u nas zwykle stajnia zamyka się wtedy gdy złodziej konie ukradnie, a tymczasem Piotrków nie doznawszy klęski, i nie pocieszając się błogą myślą że „stało się już, co się stać miało“ — bierze się ostro do zabezpieczenia przyszłości. W tym spóźnionym pośpiechu wi-

świecy wieczorem przez matkę moję do sypialni rodziców po pomidory z nad szafy i korniszony ze słojem, które do kolacyi potrzebne były, uciekając ze strachu, z temi nieszczęśliwemi, jak je nazywała „pupidorami i garnizonami" pośliznąwszy się na posadzce upadła i z rozbitego słoju, mocno rękę szkłem pokaleczyła.

Nie pomiernie drwili też sobie, z tej dziewcząt obawy, kuchmistrz hr. ordynata francuz Creté, w przeciwległej oficynie pałacu mieszkający, i cała kuchnia jego cudzoziemska. A kusy niemczyk Krahl, spotykając wieczorem sługi nasze przedrzeźniał je w najzabawniejszy sposób.

Ucieszna też to była figurka z tego pana Krahla.

Był on niegdyś nauczycielem muzyki fortepijanowej, w domu hr. Izydora Ordynata Krasińskiego, później zaś został alcistrą orkiestry Teatru Wielkiego w Warszawie, a wszyscy starsi koledzy jego, dziś by go jeszcze pamiętać powinni.

Artyści nasi teatralni mieli już z dawna ulubioną dla siebie dziurkę. A dziurka ta była nieco innego jeno bawaryja z restauracyją, w Grabowskich pałacu od ulicy Daniłowiczowskiej, utrzymywana przez Ejchlera.

Codzień, zbierała się tam orkiestra po próbie, lub przed zaczęciem reprezentacyi, na domino, przekąskę i szklaneczkę bawara.

Aj! lał się też tam dowcip nie lada!... I choćbyś był nawet hypokondrykiem, to śmiać się musiałeś z tych żartów.

Pracowałem wówczas w Komisyi, a z biura mego, nie było mi tam zbyt daleko na drugie śniadanie.

Młody zatem, żywy a swobodny, biegłem do bawaryi Ejchlera w godzinach, w których spodziewałem się zastać razem zebranych artystów przed próbą opery lub baletu.

I doprawdy!... nigdy dosyć nasycić się nie mogłem, tym żywym, tryskającym, nieporównanym humorem i dowcipem świeżym tych poczciwców, klepiących częstokroć biedę, którzy w pracy nieustannej, nużącej nad wyraz wszelki, zdobywali dla siebie chleba czarnego kawałek.

Istotnie, humor rzeźwy, prawdziwych Warszawiaków, musiał tam mieć chyba reprezentantów swoich!

A jednak nie różami usłaną mieli oni drogę. Znałem jednego z tych panów bliżej, który tak mi opisywał niedolę swoję, gdym go zapytał: dla czego uciekł w nocy z imienin żony, skoro posłyszał muzykę w bawialnym pokoju?

Bah!—łatwo to panu wyrzucać mi, ale posłuchaj tylko historyi dnia jednego a będziesz miał wszystkie.

Dziś rano wstałem o piątej i ubrawszy się poszedłem grać na wody do Ogrodu Saskiego. Odpocząwszy godzinkę trzeba było spieszyć na próbę teatralną. Po niej miałem, tylko tyle czasu aby zjeść co prędzej obiad i zdrzemnąwszy się pół godzinki, lecić na koncert do Szwajcarskiej Doliny, po koncercie znów zaledwie zdążyć mogłem do Teatru Wielkiego na balet... I pan mnie pytasz jeszcze dla czego uciekłem z imienin!!

Bywało też tam u Ejchlera kilka figur wybitnych:

Pierwszym tedy był dotychczas żyjący b. artysta baletu pan R*, którego humor, żywość i swoboda były niewyczerpane.

Jako adept białej i czarnej magii, liczył się on tam, jako jeden z najbardziej cenionych i poszukiwanych gości, którego wszyscy wyglądali z wielkiem utęsknieniem.

Skoro wchodził, ożywiały się wszystkie twarze, bo pan R*, w przystępie dobrego humoru nie raz zebranych towarzyszów figlami swymi ubawił. A za to go wszyscy szczerze kochali, że wszystko co robił, szło mu nader zręcznie a szykownie.

W parze z nim, szedł zgasły już od lat kilkunastu Franciszek Małgocki. Wielki artysta!.. Chodzący talent!

Grał on na wszystkich instrumentach z jednakową łatwością i zostawił sporo kompozycyj po sobie, wysoce przez znawców cenionych.

W swoim czasie, był to niezawodnie najzdolniejszy kandydat, do objęcia posady dyrektora orkiestry Teatru Wielkiego, ale zmarł młodo niestety,... z powszechnym żalem melomanów, z bliska ocenić mogących olbrzymie jego zdolności.

Trzecim nakoniec był Karol Krahl.

Małgocki w przystępie dobrego humoru, brał czasami do ręki, czarny swój jedwabny cylinder, i piłował go kantem dłoni, tak wybornie przy tem naśladując ustami tarcie drzewa, że słysząc udane piłowanie to z drugiego pokoju, przysiągłbyś iż piła stolarza, wprawną bardzo ręką jest kierowana.

Krahl stojąc wtedy przy Małgockim; udawał rozgniewanego szpica, którego nerwy, drażnione były niby tem piłowaniem: a szczekał tak zajadle, i skowyczał tak żałośnie, że boki trzeba było zrywać od śmiechu.

Czasami też, w komicznej pracy około kapelusza, Krahl dopomagał Małgockiemu, klaskając językiem, i wyśmienicie naśladując odpadające przy piłowaniu kawałki drzewa, które jakoby z troskliwością zbierał z ziemi, różne przy tym udanym pośpiechu a pocieszne robiąc miny.

Krahl, obcy przybłęda, sprowadzony do Warszawy przez magnatów, żył tu sam jeden i nie zostawił nikogo po sobie na świecie.

A dziwna przyszła mu raz ochota.

Mieszkaliśmy w jednym domu i znałem go dobrze, uprzejmie witając się z nim przy każdem spotkaniu. Wchodzi on tedy pewnego razu do mego mieszkania, i z komicznie poważną twarzą mówi mi:

— Żenię się, panie Adolfie!

— Kto!... pan?... ha, ha, ha!— Oto dopiero będzie małżonek!

— Dla czego?

— Ależ, zastanów się kochany panie!..masz lat sześćdziesiąt blisko, szczupłe fundusze, i zdrowie... no, lepiej nie mówić. Wyglądasz akurat, jak jabłko osadzone na drewnianych patyczkach i spieczone w popiele. Cóż chcesz u licha, aby żona z tobą robiła.

---

dzimy więcej niż dorywcze zaradzanie grożącej biedzie — widzimy zwycięstwo nad tradycyjną naszą słabością i krok dobry... po długim namyśle.

P. S. W tej chwili dowiadujemy się że w zeszłą niedzielę w Piotrkowie wybuchł pożar. Szkody podobno nie były wielkie bo zaledwie kilka domów się spaliło.

Stowarzyszenie subjektów handlowych w Warszawie zamierza urządzić u siebie odczyty z nauk przyrodniczych oraz przedmiotów wchodzących w zakres umiejętności handlowych. Wiadomość ta jest oznaką pięknego kierunku jaki przybiera wzmiankowane stowarzyszenie i pozwala o pożytkach jego rozwoju najlepsze rokować nadzieje.

Że tam gdzieś na odległej prowincyi przechowują się dotąd prastare nałogi i przyzwyczajenia niezgodne zupełnie z wymaganiami i potrzebami dzisiejszego ustroju społecznego, to przynajmniej o tyle zasługują na uwzględnienie, że dają niewyczerpany materyjał humorystom i felijetonistom, ale w Warszawie wszelkie podobne patryjarchalne zabytki żadną miarą cierpianymi być nie powinny. Do tych zaliczyć należy archeologiczną sprzedaż chleba i bułek *na słowo honoru* piekarskie, o którem że jest nadzwyczajnie podejrzanej wartości, niejednokrotnie przekonali ajenci porządku publicznego. Dziwna to doprawdy apatyja urzędu publicznego tolerująca od wieków podobne nadużycia, i nastręczając możność przekupniom bezustannego wyzysku publiczności ową przedażą chleba i bułek na oko, bez względu iż gdyby to miało miejsce na wagę każda liczniejsza familija na wydanej w tym celu złotówce zyskałaby przynajmniej jednę bułkę, a do dwuf untowego chleba dołożyćby wypadło niejednokrotnie z drugiego cztery łuty, co w życiu ekonomicznem pojedynczych familii stanowi dość pokaźną kromkę a po upływie miesiąca cztery funty chleba.

Birsztany d. 6 Września 1875 r. *)

Szanowny Redaktorze!

W 38 i 39 numerach Opiekuna z roku zeszłego zamieszczony jest artykuł o Birsztanach, w którym wskazano zalety wód miejscowych i ważność ich dla przyległych gubernij oraz możebność świetnej dla tego miejsca przyszłości, z drugiej znowu strony wyliczono szczegółowo trudności i niedogodności, z jakiemi muszą spotykać się przybywające tu na kuracyją osoby.

Zapowiedziana już w roku zeszłym zmiana właściciela Birsztan i słusznie oczekiwane reformy w całem urządzeniu zakładu wód birsztańskich ściągnęły do tego miejsca w tym roku jeszcze liczniejszą publiczność. Czy i o ile jej nadzieje ziściły się, w krótkich słowach

*) Aczkolwiek obraz, skreślony poniżej przez korespondenta naszego wydaje się zbyt może pesymistycznym, użyczamy mu jednakże miejsca, dając zarazem posłuchanie wszelkiej reklamacyi, któraby w tym względzie nadesłaną nam była. (*P. R.*)

— To już jej rzecz—odpowiedział mi, śmiejąc się. Zresztą ma i moja przyszła pewne wady swoje.

— A wiem o tem, widziałem ją przecież nie raz z panem na spacerze, grzecznie wyrażając się, ma ona dwie wydatne pochyłości figury, jednę z przodu a drugą na plecach.

Ani słowa!...bardzo to kosztowne nabytki, ale dla tego też, śmiem utrzymywać, wymagają one szczególniejszej pielęgnacyi. Sądzę więc, że pan mianowicie, który w życiu swojem nie z jednego pieća już chleb jadłeś, najmniej zdolnym pokażesz się, do tak trudnej konserwacyi.

— Ha! może pan masz i racyja, ale trudna rada... Alea jacta est. Dałem słowo i cofać się nie mogę.

— Bój się Boga człowieku!.. zastanów się raz jeszcze. Chcesz się żenić koniecznie, ależ z tobą do żeniaczki to jak z jeżem do psa!

Krahl nic mi nie odpowiedział na to, tylko westchnął ciężko... jakby uczuł w tej chwili, całą wagę słów moich.

Ale był on jednym z tych ludzi, co życie biorą na żart, schwyciwszy zatem skrzypce swoje do ręki, które wieczorem poprzedniego dnia u mnie zostawił, zagrał mi na nich aryją z „Roberta".

„Złoto, złoto jest himera...

A niech że cię, myślę sobie..., leż-że więc w błoto, kiedy słuchać mnie nie chcesz!

I wlazło nieboraczysko.

Czwartego dnia po ślubie, był juz w kawalerskiem swojem mieszkaniu z powrotem, zamknąwszy się na dwa spusty i zasówkę...a w pół roku potem—nie żył!

Zacna zaś małżonka jego, z dwoma upominkami od natury, której nerwy, w tak nieprawidłowy sposób zaatakowane były przez nieboszczyka, wkrótce też wyniosła się na tamten świat, za swoim małżonkiem, z protestem przed trybunał Przedwiecznego, o tak przykry dla siebie zawód położonych nadziei, i niespełnienie aktualne przez zmarłego wszystkich warunków małżeństwa.

Twarz Krahla była zwiędła i pomarszczona ale pompatycznie zawsze na pozór poważna, co komiczny stanowiło kontrast z suchą jak wiórek i subtelną figurką jego.

Malutka ta postać, latem i zimą owinięta była w wielki tabaczkowy surdut robiony na dwoje, a z głębi wysoko podniesionego kołnierza u surduta, bo aż na uszy zachodzącego i grubo na szyi związanej chustki czarnej jedwabnej, zakrywającej brodę, widać było tylko nos szpiczasty, i policzki kościste spieczonym rumieńcem okryte.

Ktoby się jednak uważniej przypatrzył jego twarzy, dostrzegłby jeszcze oprócz tego, parę ruchomych dowcipnych oczek, świecących właściwym sobie blaskiem i wyrytą na niej śmieszną dobroduszność, złączoną z wyrazem finezyi.

Wiecznie pogięty i połamany kapelusz na głowie, grubo kurzem pokryty, w charakterystyczny znów sposób, dopełniał całość ubioru Krahla. A wszystko to, tak się jakoś składało, że kto go raz spotkał na ulicy, ani minąć pociesznej tej figury bez uśmiechu, ani zapomnieć jej już w życiu nie mógł.

Dokładne zresztą można było sobie wyrobić pojęcie o subtelności tuszy Krahla, choćby z tej jednej tylko okoliczności że tak mało jadał, iż mi się pomieścić w głowie nie mogło, aby tak nędzne żywienie się wystarczyć mogło człowiekowi. Że zaś w dodatku, uskarżał się na nadzwyczajną strawność żołądka, niech zatem czytelnik dośpiewa sobie resztę.

Pił za to... fiu, fiu!... doskonale! Mógł lać w siebie ile chciał, jak w beczkę beze dna. A opowiadał o sobie kilka komicznych wypadków, które rad nawet innym powtarzał i to tem chętniej, o ile przy opowiadaniu tem, widział kilka pełnych butelek na stole.

Słyszeć go było wówczas, jak mu się język rozwiązywał!

Dzieckiem jeszcze będąc nasz Krahl, wymykał się często z domu rodziców, i biegł do teatru miejscowego w Wejmarze.

A teatr lubił pasyjami! I występował tam w sztukach niektórych jako figurant, przebierany nawet we „Flecie Czarnoksiężkim" za lwa.

„Flet" grywano wówczas na wszystkich scenach europejskich, a Krahl, prezentował się tam już z urzędu, w lwią skórę odziany, i gorliwie na tylnych łapach otojąc, strzegł wejścia do zaczarowanej Braminów świątyni, gdyż rzecz tej sztuki odbywała się w Indyjach.

Ojciec Krahl należał do składu kapeli nadwornej panującego księcia Sasko-Wejmarskiego, ale o ile nie był zajęty obowiązkami swymi lubił wieczorami czas trawił za domem w knajpce jednej, w bliskości pałacu książęcego, położonej, gdzie przy szklance piwa z fajką w ustach, do późnej nocy przesiadywał. Mógł zatem Karol, z łatwością wycieczki swoje teatralne taić przed ojcem.

d. c. n.

Nauczanie elementarne.

PRZEZ

A. Celichowskiego.

Szkoły ludowe czyli elementarne mają dwojakie zadanie: *nauczania* i *wychowania*, według pewnych prawideł harmonijnie z sobą połączonych. Nauczanie z wychowaniem powinno iść z sobą *w parze nierozłącznie*, ani też kosztem jednego, drugie zaniedbywane być nie powinno; nauczając należy wychowywać, a wychowując nauczać.

W zasadzie powinny mieć wszystkie Zakłady Naukowe takie samo zadanie; wszelako skoro po za szkołę ludową czyli początkową (a jak w innych krajach nazywają elementarną) wystąpimy, równowaga ta ustaje. W szkołach średnich (gimnazyjach) strona naukowa bierze górę nad wychowawczą, choć i tu cel wychowania nie należy ani na chwilę spuszczać z oka. Gdy bowiem szkoła ludowa ma zadanie ogólne, podstawowe, jako mająca na

---

opowiemy. Właściwie wypadałoby mi przytoczyć parę tylko wierszy Karpińskiego „wszystko tak jak było, tylko się ku starości więcej pochyliło" i na tem rzecz całą zakończyć. Ponieważ jednak zmiany niektóre zaszły istotnie, wypada więc o nich wspomnieć, jakkolwiek nie mówią one wcale na korzyść Birsztan. Pojechawszy do nich w tym roku, dowiedziałem się przedewszystkiem, że przybył już nowy Dyrektor (tak tu nazywają zdrojowego lekarza). W obrębie samego zakładu, z szumnymi tytułami, rozwieszone obwieszczenia udzieliły mi bliższych informacyj. Dowiedziałem się od nich szczegółowo, iż p. Dyrektor za poradę pobiera od każdej osoby rs. 5, jeżeli więc kto przybył z familiją złożoną z osób 10-ciu zapłaciłby rs. 50. Objaśniły mię dalej osoby znajome, że p. Dyrektor sam sprzedaje bilety do wanien i odmawia ich tym, którzy nie udają się do niego po radę. Wprawdzie dodane było przy końcu obwieszczenia, iż biedni nic nie płacą, ależ nie każdy, kto nie jest w stanie zapłacić Doktorowi kilka dziesiątków rubli chce już tem samem należeć do kategoryi nędzarzy. Gdy przytem przybyło do Birsztan wiele osób z gotowemi informacyjami zeszłorocznych pp. lekarzy, cieszących się powszechnem zaufaniem, powstała stąd opozycyja przeciw panu Dyrektorowi, który musiał w końcu ustąpić i wyrzec się monopolu. Oto pierwsza nowość, jaką tu znalazłem. Czy zyskały co na tem Birsztany? Czas to pokaże. Po załatwieniu się z kąpielami następowała kwestyja muzyki, na którą szanowny Dyrektor pobierał od każdej przybyłej do Birsztan dorosłej osoby po rs. 2, a od dzieci po rs. 1. Tym sposobem za słuchanie jej liczna rodzina musiała zapłacić znowu kilkanaście rubli. Gdyby to przynajmniej była jaka taka muzyka, ale to po prostu licha, z kilku żydków złożona kapela, której przełożony nazywał się *Dyrektorem orkiestry*. Wogóle tytuły Dyrektora i t. p. są tu bardzo w modzie. Po ukończeniu wspomnionych formalności i opłat, dostawał się biedny chory do wanien, gdzie go nowe przyjemności oczekiwały. Cały zakład kąpielny pozostał in statu quo; nie tylko nic w nim nie ulepszono, ale nawet pogorszyło się wszystko. Ażeby gołe słowa nie wydały się komu podejrzanemi, przejdźmy do faktów. W roku zeszłym leżał przy każdej wannie przynajmniej kawałek płótna, na którym mógłby stanąć chory z wanny wychodzący. W tym roku zniesiono to, widać jako niepotrzebny zbytek. Przy robieniu wanny często trudno było dowołać się o termometr, i zwykle jej temperaturę wymierzał służący ręką. Na naleganie o termometr odpowiedziano mi nieraz, iż się wszystkie prawie potłukły.

W jednym małym numerku, czyli izdebce, stawiano obok dwóch wielkich po dwie jeszcze małych wanienek. Temperatura powietrza podnosiła się przeto bardzo często do stopni 28 i więcej według Reomura, t. j. równała się temperaturze wanny, czyli innemi słowy, z kąpieli robiła się łaźnia parowa. Do czasu nim wszystkie wanny zostały zajęte, trafiało się nieraz, iż w pół godziny po zajęciu jednej, przychodził stróż i zaczynał przygotowywać drugą dla osoby nowo przybyłej, narażając już kąpiącą się na zawianie z powodu kilkakrotnego otwierania drzwi. Nastały wreszcie czasy, gdy zaczęło brakować to wody zimnej, to

względzie wykształcenie i wychowanie wszystkich dzieci, do jakiegokolwiek zawodu w przyszłości by się gotowały bez różnicy stanu i powołania, to szkoły średnie czyli gimnazyja mają inne nieco zadanie.

Zadaniem gimnazyjów jest dać uczniom, którzy sięgają wyżej po nad poziom powołania życia miejskiego lub wiejskiego, takie naukowe wykształcenie, aby czy to przestając na takowem, czy sięgając jeszcze wyżej po skarby nauki (do uniwersytetu), byli umysłowo do zajęcia przyszłego stanowiska przygotowani. Głównem zadaniem więc gimnazyjów będzie to, aby uczniowie nabyli tyle wszechstronnych i tο gruntownych wiadomości, iżby te ułatwiały im zajęcie stanowiska, do jakiego czują w sobie powołanie. Chodzi tu więc głównie o rozwinięcie umysłu i zdobycie obszernej a przedewszystkiem gruntownej wiedzy w różnych gałęziach nauki. Wpływanie przeto na wyrobienie w uczniu pewnych zasad, mniej się tu już uwzględnia, zważywszy i tę okoliczność, że zmiana nauczyciela prawie co godzina, nie może tak wpłynąć na urobienie w uczniu pewnego charakteru, jak w szkołach ludowych, gdzie dziecko od początku do końca ma tylko jeden typ, jeden wzór, jednę osobistość przed sobą, do której młodziany umysł nie tylko przylega, ale bywa przez nią przyciągany.

W szkołach zaś wyższych czyli uniwersytetach strona naukowa wyłącznie jest panującą. Im bowiem uczeń wyżej postępuje w naukach, tym więcej wyrabia się w nim indywidualność myślenia, samodzielność w wyborze kierunku, w jakim się przez szeroki świat puścić zamierza, tak że bardzo często stawa ze swoim nauczycielem w poprzek zdań i czynów, wyrabia się w nim myśl refleksyjna, a nakoniec krytyczna. Nie wszystko już bierze za dobrą monetę, lecz zagląda do różnych autorów, zapuszcza się nawet do źródeł i porównywa z niemi to, co słyszał i jak słyszał. Stąd też dla nauczyciela szkół wyższych (uniwersytetów) mniej jest objektywnym uczeń, który tu względnie sam sobie jest zostawiony, jak raczej przedmiot, który wykłada.

Zupełnie inaczej ma się rzecz w szkołach ludowych. Tu nauczyciel występuje jako ojciec, sędzia, kapłan, w ogóle jako ideał najdoskonalszego człowieka. Dziecko wszystko powtarza, co tylko słyszało i widziało u swego nauczyciela, marzy tylko o tem, marzy nie tylko na jawie, ale i we śnie. Na takiem też stanowisku, na tej wysokości swego zadania powinien koniecznie nauczyciel się utrzymać, jeżeli ma w całej zupełności swemu powołaniu odpowiedzieć, wtenczas, jeżeli nigdy nie spuści z uwagi, że zawsze ma łączyć naukę z wychowaniem.

Czemże tedy będzie wychowanie? oto skierowaniem dziecka według pewnych prawideł rozumowych ku osiągnieniu swego przeznaczenia w obec społeczeństwa, przygotowaniem do uczciwego i pożytecznego życia; będzie to prowadzeniem go za rękę, aż do pewnej jego dojrzałości, przy pomocy której byłby wstanie, sam sobie w danych razach radzić, i uprzągłszy się w wielkie koło idącego naprzód społeczeństwa ludzkiego, mógłby się razem z niem swobodnie poruszać. Wszystkie władze umysłu i serca powinny jedynie ku temu celowi być skierowane.

Środki, jakimi się wychowanie w ogóle posluguje są:

a) *żywe słowo i czyn*, czyli przedstawienie dziecku wszystkiego, co jest dobre prawe i szlachetne, przedstawienie idące w parze z przykładami z życia samego nauczyciela;

b) *nauka*, czyli udzielanie dzieciom pewnych wiadomości, w pewnym uporządkowanym systemacie, które nie tylko mogą przygotować dziecko na członka wielkiej familii rodu ludzkiego, a w *szczególności narodu*, do którego należy, ale zarazem przyswoić mu w pewnym stopniu niektóre wiadomości, aby się niemi mogło posiłkować w dalszem życiu.

Chcąc mówić o wpływie wychowania elementarnego i o tem jak nauczyciel ma wychowawczo działać na dziecko, trzebaby wyliczyć wszystkie władze umysłowe, wszystkie skłonności serca i namiętności, które dają się spostrzegać już w tym maleńkim człowieku, kiedy pierwszy raz przestąpi próg izby szkolnej; rozebrać pojedynczo, zastanowić się nad każdą cnotą i błędem, wykazać, jak tamte pielęgnować i potęgować, a te zacierać i wytępiać należy, aby na takiej dopiero tabula rasa nowe stanowić prawa. Nie trzeba bowiem o tem zapomnieć, że nauczyciel dostaje dziecko albo dobrze rozwinięte, albo zaniedbane, albo nawet już ze złemi skłonnościami. Najtrudniejsza jest sprawa w ostatnim razie; tu wprzód trzeba złe wykorzenić, zaczem się fundamenta do dobrego położą, czyli wprzód będzie trzeba chwast wytępić, rolę oczyścić ze złego zielska, zaczem się da z korzyścią dobre ziarno zasiać. A to rzecz podwójnej pracy.

Nie dosyć więc będzie dla nauczyciela, zachęcać, moralizować, nauczać, ale przedewszystkiem zawsze i wszędzie czynem to, czego nauczał stwierdzać. Nauczyciel więc przedewszystkiem musi dzieciom swoim dać przykład gorliwego wypełniania obowiązków, sumienności, pracy, zamiłowania porządku, czystości i t. d. I to jest to, cośmy powiedzieli wyżej: *żywe słowo i czyn*.

Przystąpmy teraz do strony naukowej w szkole ludowej i zastanówmy się nad tem, czego po szkołach początkowych uczyć należy. Strona naukowa szkoły ludowej dzieli się znowu na dwie części:

1) czego uczyć, i
2) jak uczyć należy.

Szkoły ludowe powinny w zasadzie być jednostajne i mieć wszędzie jednakowy plan. Z uwagi wszelako, że po miastach są inne warunki życia, inne zatrudnienia, inny stopień umysłowego rozwinięcia i wykształcenia niżeli po wsiach, — a szkoła, jak to wyżej powiedzieliśmy, ma być przygotowaniem do życia praktycznego, przeto będziemy musieli zrobić rozdział na szkoły miejskie i wiejskie, wszelako tylko o tyle, o ile chodzi o mniej lub więcej systematyczniejszy wykład nauk.

Młody wychowawca, opuszczając Instytut pedagogiczny, w którym się na nauczyciela przysposabiał, lub osoba, która nie będąc w

---

ciepłej, to wreszcie obu razem. Spotykałem wtenczas osoby, które nie kąpały się po trzy dni. Słyszałem na własne uszy jak narzekającym na takie nieporządki damom, odpowiedział grubijańsko jakiś jegomość z łazienkowskiej administracyi, aby poszły sobie pospacerować zamiast kąpieli. Dodajmy do tego nieczystość w łazienkach posuniętą do obrzydliwości, i brudną obszarpaną służbę, a będziemy mieli smutny ale prawdziwy obraz. Łazienki te jednak, z całym ich komfortem, szanowny Dyrektor zakładu uważa widać za roskoszne, gdyż pewną damę, która zna prawie wszystkie wody krajowe i niektóre zagraniczne, gdy mu powiedziała, że numera mają powietrze duszne bo są niskie i bez wentelacyi, zapytał z prawdziwie wykwintną grzecznością „a gdzieżeś pani widziała lepsze?“ Z takiemi to przyjemnościami spotyka się człowiek w tym zacofanym kącie, płacąc przytem dobre pieniądze.

Niechże po tem wszystkiem, kto chce protęguje wady podobne i dziwi się tym, którzy za granicę wyjeżdżają.

Gdy wreszcie poprawiono maszynę i wody było dosyć, administracyja, chcąc pokryć poprzednie niedbalstwo, puściła w obieg kaczkę, iż chorzy niszczą wodę, przemieniając ją po kilka razy, a p. Dyrektor wydał edykt, mocą którego, każdy chory dopuszczający się podobnego nadużycia, będzie skazany na kontrybucyję. Powstał stąd zajadły spór między birsztańską jurisprudencyją, czy doktór ma prawo nakładać kontrybucyją. Ale jakoś nie okazało się potrzeby zastosowania prawa i spór został nierozstrzygnięty.

Jedyną pożyteczną nowością w Birsztanach jest nowo wzniesiony hotel, stanowiący prawdziwą ich ozdobę, ale zbyt cienkie ściany i sufity niezabezpieczają spokoju jego mieszkańców, bo w czasie liczniejszego zjazdu, po całych nocach sypiać nie podobna: nie tylko bowiem najmniejsze stuknięcie, ale nawet zwykła rozmowa jest słyszaną w sąsiednich numerach.

O poważniejszych zabawach umysłowych w tym jak i zeszłym roku nikt w Birsztanach nie pomyślał.

W dwóch tutejszych cukierniach i traktyjerniach zarazem nie znajdziesz ani jednej gazety. Utrzymujący te zakłady nie rozumieją nawet własnego interesu. Mogę ich zapewnić, iż zaprenumerowanie jednej lub więcej gazet nie tylko nie przyniosłoby im uszczerbku, ale nawet przyczyniłoby nie mało dochodu: bo sprowadziłoby do nich nie jednego gościa, który dziś tam i nie zajrzy. Podobny brak wszelkiego pokarmu umysłowego bardzo dotkliwie czuć się daje wielu osobom nawykłym do czytania, a które książki i pisma nie łatwo tu mogą z różnych stron kraju sprowadzać.

Rzecz dziwna! Nawet wydanej w zeszłym roku w Wilnie broszurki D-ra Reniera o wodach birsztańskich dostać tu trudno, i tylko wypadkowo wpadła mi ona w ręce na parę godzin; tymczasem każdy kąpiący się chętnieby ją, choćby za podwójną cenę, kupił i przeczytał, pomimo niedokładności i wielu błędów.

Ż.

żadnym zakładzie pedagogicznym (to samo mówimy i do wychowawczyń), lecz prywatnie się sposobiąc uzyskała świadectwo zdatności do nauczania w szkołach ludowych, powinna nie tylko na papierze (to co stoi w instrukcyi), lecz i w głowie mieć rozkład nauk, jakiego się stosownie do miejscowości, lub warunków szkołę otaczających trzymać powinna. Bieda to będzie z takim nauczycielem, któremu dopiero Władza naukowa będzie musiała (jak gdyby jaki regulamin wojskowy) postępowanie z dziećmi, metodę i plan przepisywać. To już zapóźno. Nauczyciel mający patent (lub nauczycielka) w ręku, powinien wiedzieć, jak uczyć i czego uczyć; w danych bowiem okolicznościach musi on się często zastosować do intelektualnego stanu już nie tylko szkoły, którą obejmuje, ale nawet samej gminy.

Nauki jakie po szkołach ludowych wykładane być powinny, dzielimy na 3 główne oddziały:

a) nauka o Bogu czyli religija;

b) nauka języka;

c) nauka o świecie, do której należy nauka z dziedziny przyrody, gieografija i historyja, a jako druga najważniejsza część tego działu: rachunki i nauka o kształcie figur i ciał.

Pomówmy w krótkości o każdym z tych trzech działów.

---

1. Nauka religii.

Cel nauki religii po szkołach ludowych jest wprowadzenie dziecka w życie chrześcijańskie, powołując je do spełnienia moralnych zasad religii.

Zapatrując się na naukę religii z takiego stanowiska ma znowu nauka jej dwie strony: teoretyczną i praktyczną; teoretyczną, nauczanie religii i prawd w niej zawartych, praktyczną, wychowanie czyli prowadzenie dziecka do religii, t. j. aby je religijnem uczynić.

Nie jest zadaniem niniejszej rozprawy, którąbyśmy chcieli uczynić jak najkrótszą, szczegółowo nad tymi dwoma punktami ostatnimi się zatrzymywać. Nadmieniamy tylko w krótkości, że przy nauczaniu dzieci prawd religijnych, nauka religii powinna nierozdzielnie z powieściami z Pisma Ś-go być połączoną. Te bowiem mają służyć przy nauce religii jako ciało dotykalne, widoczne, jako uobrazowanie owych prawd oderwanych dla umysłu dziecka albo mało, albo wcale nieprzystępnych. Elementarnie, praktycznie, na tle uobrazowania ułożony katechizm będzie tu wielką pomocą dla nauczyciela. Katechizm taki o tyle jest niezbędnym, że wykładając naukę religii bez tegoż, mógłby dogmaty kościoła chrześcijańskiego fałszywie, albo nie w tej myśli wykładać, jak je kościół tłomaczy i chce mieć tłomaczone. Używając zaś katechizmu przy nauce religii, mamy gwarancyją, że całą treść religii objaśnionej w tem znaczeniu i pojęciu prawd, jak je chce mieć kościół, dajemy.

Nie rozumiemy tylko owego bezwiednego, bezmyślnego uczenia dzieci katechizmu z książek ku temu celowi napisanych. Tak wszakże po większej części po naszych szkołach ludowych się dzieje. Cała nauka religii i prowadzenie dzieci do religijności, zasadza się na pamięciowem, suchem, bezwiednem wyuczaniu pewnych formułek, które dzieci w bardzo krótkim czasie zapominają, a choćby i na dłuższy czas spamiętały, nic z tego wszystkiego nie rozumieją. Bezmyślne wyuczanie dzieci katechizmu, bez żadnego tłomaczenia, objaśnienia zastosowanego do pojęcia dziecka, jest to papugostwo, które żadnej nie odnosi korzyści, a przeciwnie przynosi szkodę, bo robi dzieci obojętnymi w sprawie dla nich najświętszej i która je najwięcej obchodzić powinna. Dla nauczyciela metoda taka jest arcy-wygodną dać dzieciom katechizm w rękę i powiedzieć: wyuczycie się na pamięć od tego do tego miejsca, a na następnej lekcyi przesłuchać jakby jakiej błahej powiastki lub bajeczki o kotku lub myszce. Czego się zaś dziecko pamięciowo wyuczyło, zapomina ledwo się ze szkołą rozstanie. Nic z tego wszystkiego niepozostanie na długą wędrówkę w życiu. A nie raz pociecha jaką człowiek w religii znajduje przydałaby mu się bardzo w chwili nieszczęścia, niepowodzenia, kiedy czarne zwątpienie i rozpacz zapanuje nad duszą i sercem jego.

To też skutki takiego nauczania religii, takiego martwego szczepienia ducha bożego widzimy w praktyce życia naszego ludu. Prawdziwego uczucia religijnego mało tam można dopatrzeć, widzimy albo fanatyzm (choć w rzadkim wypadku) albo bezmyślne praktykowanie obrządków kościoła. Że świątynie Pańskie przepełniają się niby to nabożnym ludem to nic zatem nie przemawia; dzieje się to albo ze zwyczaju, z odwiecznej praktyki przez ojców, matki, babki i prababki dokonywanych lub z innych za religiją leżących powodów; ale patrzmy co się dzieje po za kościołem, w domach, w familijach, w pełnieniu obowiązków względem swoich bliźnich, —nawet *najbliższych*. Rozpasanie na wszelkie złe, gra brudnych namiętności (czytelnik nie będzie żądał, abyśmy go oprowadzali po wszystkich kałużach, w których się nurza rozum i człowieczeństwo), obłuda, mijanie się z prawdą, oto objawy które się uwydatniają na tle życia naszego ludu, a im *niżej* zstąpimy na dół, tem jaskrawiej. Przyczyny zaś tego smutnego objawu szukać należy w braku prawdziwego ducha religijnego, w niedostatku krzewienia zasad moralnych do których ugruntowania nastręcza się wychowawcom zbyt wiele sposobności, stawiając obrazowe przykłady czy to z Pisma Ś-go czyli też z życia powszedniego, wykazując zawsze i na każdem miejscu, wszechmocność, sprawiedliwość, mądrość i opatrzność Boską.

d. c. n.

KARA I NAGRODA
w wychowaniu.

(Dokończenie).

Przytoczymy jeszcze parę przykładów dla dokładniejszego uwydatnienia dążności do poprawy dziecka naturalnemi następstwami jego złych postępków i skłonności.

Nie ma zapewne zwyczajniejszej *wady* w dzieciach nad lenistwo, czyli niechęć do nauki. O ile wadą jest ta niechęć i jak wielką jest wina dziecka czującego wstręt do książki, pojmiemy z łatwością, jeżeli postawimy siebie na miejscu malca i zechcemy pomyśleć co byśmy czynili gdyby nas jakaś ślepa konieczność zmusiła do mozolnej pracy, nie budzącej zajęcia, dla celów leżących na zewnątrz naszej istoty, gdyby nam np. kazano wyuczać się kilka tysięcy chińskich liter w widokach nie jasno pojmowanego przez nas dalekiego dobra? Mniejsza jednak o nasze zachowanie się w podobnym wypadku. Jaś po prostu nie chce się uczyć, niedał się wciągnąć w obowiązkową pańszczyznę, ucieka od książki, płacze nad nią — słowem nauka idzie „jak z kamienia.“ Nie pomagają napomnienia, obietnice i kary najsroższe; rodzice są zrozpaczeni; nauczyciele wręcz oświadczają że Jasia uczyć nie sposób, gdyż zdemoralizowany jest zupełnie. W takim stanie rzeczy przypadek zdarza, że kształcenie dzieci do których grona Jaś należał obejmuje nauczycielka, osoba łagodna, dobra, cierpliwa—ale jakąż w niej pokładać można nadzieję dla chłopca z którym nic nie mogli zrobić najenergiczniejsi pedagodzy?

Rzeczywiście usiłowania nauczycielki nie dały pożądanych owoców. Jej *dziwaczny* sposób uczenia polegający na zainteresowaniu dzieci nauką i uczynieniu jej zajmującą dla ich umysłów z początku tylko podziałał korzystnie na uderzoną wyobraźnię Jasia, lecz wkrótce dawna niechęć chłopca powróciła wybitniej jeszcze, iż nie czuł dawnego przymusu i surowych karbów terroryzmu. Ośmielony dobrocią nauczycielki chłopiec oświadczył pewnego razu że nie chce się uczyć.

— Dobrze, odparła nauczycielka. Od dziś dnia nikt cię nie będzie przynaglał do tego, czego inni szukają jako dobrodziejstwa. Nie będziesz się już uczył, zajmuj się czem chcesz i możesz.

Radości nie okazał chłopiec, przestraszony był prawie, zaczął nawet prosić o cofnięcie postanowienia, któremu niedowierzał; lecz widząc stanowczość nauczycielki, wyszedł z pokoju i po chwili dopiero uczuł całą radość swobody. Dzień cały zeszedł mu najmilej, nikt go nieupokarzał, nie robił wymówek, nie moralizował, domowi zdawali się niezwracać na niego uwagi, nikt się nim nie zajmował, tak jakby nic ważnego nie zaszło. Żadnej kary, żadnej sztucznej zachęty nie dawano chłopcu. Gdy każdy swym obowiązkiem był zajęty, chłopcu pozwolono — nazajutrz już — nudzić się w próżnowaniu. Oczekiwał z niecierpliwością chwili wspólnej z rodzeństwem zabawy, lecz nie znajdował w niej przyjemności, unikał spojrzeń starszych, był kwaśny, milczący. Niebawem wyczerpał wszystkie zasoby bawienia się, godziny wlekły mu się żółwiem, położenie wyjątkowe gniotło go, z uczuciem zazdrości spoglądał ukośnie na ożywioną, pełną zajęcia, rzeźwą pracę dawnych współtowarzyszów. Gdyby mu dano najmniejszą zachętę — prosiłby o przyjęcie do nauki, lecz działo się przeciwnie, nauczycielka dawa-

ła poznać swe zadowolenie z ubytku opornego ucznia, co zakłócał harmoniją lekcyi.

Zbyt wiele miejsca zajęła by nam analiza uczuć i pojęć rodzących się kolejno i utrwalających w chłopcu, dobrowolnie skazanym na osamotnienie i próżnię zajęć, wśród nieustannego prądu pracy, który mijał go, nietroszcząc się o niego. Jak powoli rósł w oczach Jasia powab zajęć coraz nowych ochoczo podejmowanych przez braci jego i siostry, jak uczył się rozumieć, iż praca nauczycielki jest rzeczywistem dobrodziejstwem, a nauka i praca potrzebą niezbędną, nie będziemy opisywali— dość będzie powiedzieć, że chłopiec dłużej jak cztery dni, nie wytrzymał dotkliwej zapewne moralnej kaźni; z płaczem przyszedł prosić o przyjęcie go do nauki, obiecując choćby najcięższą pracę z ochotą spełniać. Przyjęto go, udzielając jednak nauki w jak najmniejszej ilości, i jak najlżejszym sposobie (aby wykazać, iż nie zasługuje na większą pracę nauczycielki) i tak stopniowem powstrzymywaniem i postępowaniem chęci, rozwijanej jednocześnie za pomocą zajmującego wykładu, uczyniono z dawnego próżniaka to, czego wymódz nie mogły dawniejsze kary i nagrody, które niczem innem nie są jak tylko wyrazem narzucanej, obcej absolutnej woli.

Kłamstwo, ten przerażający zaród wszelkiego zła, za pomocą kar i nagród nigdy wykorzenić się nie daje w dzieciach, gdyśmy je już doprowadzili do poznania złudnych korzyści tajenia prawdy i szukania fałszywych dróg postępowania. Gdzie już nie może skutkować usuwanie potrzeby kłamstwa, tam kary i surowe środki zewnętrzne utrwalają tylko nieszczęsny nałóg i uczą dziecko głębszych sposobów ukrywania i maskowania czynów. Karanie kłamstwa niem samem, a wykazywanie istotnych, naturalnych korzyści prawdy, jedyną może być drogą poprawy zepsutego wychowańca, choć droga ta jest trudna i wymaga wielkiej staranności, gdyż otoczenie całe, w którem się dziecko obraca, całe życie nasze zbyt przesiąknięte jest fałszem, aby wśród niego naturalna droga prawdy mogła być z łatwością wykazana dziecku jako najlepsza w codziennej praktyce. Sztuczność niezręczna w naciąganych sytuacyjach ku poprawie dziecka częstokroć bardziej jeszcze może w niem wadę utrwalić.

Widzieliśmy przecie przykład wyleczenia z nałogu kłamstwa 12-sto letniego chłopca wprowadzonego w rzeczywiście prawe otoczenie, bez którego o gruntownem utrwalaniu zamiłowania prawdy mowy być nie może. Najprzód małemu kłamcy wierzono zupełnie, nie dając powodów do zboczeń, a bacznie przyglądając się zdala jego postępkom. Wkrótce okazały się fałsze. Przełożony zapytuje raz chłopca mając z nim wyjść na przechadzkę:

— Czyś skończył zadaną lekcyję?

— O już oddawna...

— Wierzę ci i nie będę sprawdzał.

Wychodzą. Nazajutrz chłopiec przed wyjściem do teatru zawezwany jest do okazania swej pracy wraz z wczorajszą (dziś wykończyć jej nie mógł); kłamstwo się odkrywa. Przełożony zamiast wszelkich nauk i badań, wypowiada jedno tylko słowo: skłamałeś!

Tak pozostać nie może, nauka nie cierpi zaległości. Trzeba naprawić złe popełnione. Chłopiec więc zostaje przy robocie wczorajszej wraz z przełożonym, zamiast iść do teatru, a nadto na punkcie nauki utracił już zaufanie. Podobnych faktów jednocześnie powstaje więcej; skutki ich stają się dla kłamcy źródłem mnóstwa przykrości powikłanych, i równie prawie bolesnych dla niego szkód otoczenia, które łagodnie wprawdzie znosi je, lecz traci wiarę w chłopca i szacunek słów jego. Nałóg mówienia nieprawdy zaczyna ustępować częściowo. Tu następuje potrzeba uwydatnienia piękności i pożytku prawdy, nie sztuczną nagrodą, lecz szlachetnem zadowoleniem jakie dobry uczynek pociąga za sobą. Chłopiec powoli oczyszcza się z brudnego nałogu i wspierany przykładem, mocą przyzwyczajenia pozbywa się złowieszczej wady, od której rózgi odbijały się bez skutku.

Uznając wykazaną w powyższych przykładach metodę za zbawienną, nie chcemy ukrywać, że nie w każdym danym razie zastosować ją można. Rzeczywiście, życie nasze prywatne, okoliczności codziennego życia nie pozwalają na drobiazgowe praktykowanie zasady karania każdego przewinienia samymi jego skutkami; częstokroć nawet byłoby to niepodobieństwem. Dodajmy jednak zaraz, iż potrzeba nie wymaga bynajmniej tak wyrafinowanego sposobu postępowania.

Stanowczość woli wychowawcy, wzbudzona wiara w jej wartość moralną, nie naginającą się wedle okoliczności i humoru, lecz zawsze istotne dobro dziecka mającą na celu, a stąd wypływająca droga stałych przyzwyczajeń dobrych — oto jest osnowa metody wychowawczej, na której w danych razach występuje tylko potrzeba i sposobność sprawdzenia praktyką zasad wprowadzonych w życie dziecka. Jedno takie doświadczenie, usuwa potrzebę wielu podobnych i w pewnik zamienia dla dziecka rozumną wolę wychowawcy.

Nie należą bynajmniej do wyjątków rodziny najzupełniej obywające się bez kar przy wychowaniu potomstwa, rodziny, dla których użycie tak niskiego środka jak kara, byłoby pełną wstydu przykrością przyznania się do winy i nieumiejętności używania środków moralnych i rozumnych. Większość jednakże ciągłem karaniem dzieci wyznaje otwarcie, iż do wcielenia w wychowanie czysto ludzkich rozumnych zasad nie ma siły ni chęci. Jest to, mówmy otwarcie, nędza, tym smutniejsza iż przechodzi nie raz w pełne dumy przekonanie o zupełnej legalności jej stanu. Cóż mówić już o zwykłych śmiertelnikach, jeśli niektórzy ze znakomitszych pedagogów niemieckich dziś jeszcze przyznają pożytek rózgi w niektórych razach.

Ten wzgląd przecie nie zatrważa nas bynajmniej, bo cały postęp dziejowy wykazuje coraz słabnącą siłę brutalnego przymusu. Rózga, jako jednoznacznik kary, coraz bardziej traci kredyt. Niegdyś panująca samowładnie w domowem wychowaniu i w szkole, dziś tylko jako rzecz wstrętna choć przy nieumiejętności naszej nieunikniona, kryje się jeszcze ze wstydem w rękawie ojca lub nauczyciela. Miejmy nadzieję, że zniknie stanowczo i wkrótce pokazywaną będzie jako zabytek dawnego barbarzyństwa, wraz z narzędziami średniowiecznych tortur, gdy nad wychowaniem przyjmie panowanie i wcieli się w życie zasada: że do umoralnienia człowieka tylko moralną drogą postępować trzeba.

Zakończywszy rzecz naszą o karach i nagrodach twierdzeniem stanowczem: iż *karą może być tylko naturalne następstwo winy, a nagrodą, prosty wynik dobrego postępku*, zwróćmy się jeszcze do przejrzenia wybitniejszych sposobów absolutnej kary i nagrody, cieszących się dotąd uznaniem w naszem wychowaniu. Rózgi używamy coraz rzadziej, choćby z uwagi na to, że prawo kryminalne już ją nawet zarzuciło, nie mniej przecie uciekamy się do niej w rozpaczliwych razach, gdy dotkliwszej nieraz a bez porównania skuteczniejszej i umoralniającej kary rozumnej, nasz wychowawczy rozum znaleść nie umie. Powtarzamy jednak, że rózgę można już u nas liczyć do wyjątkowych form kary, natomiast szafujemy dziwacznemi, śmiesznemi nawet pokutami. Klęczenie, stanie w kącie w jakiej pociesznej pozycyi, odsądzenie od zwykłego pokarmu, odmówienie rozrywki, oto są nasze *naturalnie* przykre następstwa przewinienia dziecka. Uczeń nie posłuchał nas, więc za to klęczy z rozkrzyżowanemi rękami, lub niedostaje ulubionej potrawy; to bardzo logiczne i niezmiernie pouczające, gdy jeszcze na to zwrócimy uwagę, że winowajca *bynajmniej winnym się nie uznaje* i w narzuconej mu karze, widzi prostą przyjemność przełożonego w karaniu t. j. zadowolenie jego pomsty.

Powszechnym jest sposób karania przez zadawanie lekcyi nad etatowej, trudnych zadań, rozmówek, wierszy i t. p. O logice tej kary nie mówi się już, lecz czyliż ona nie jest najoczywistszym sposobem obrzydzenia dziecku i tak ciężkiej już dlań nauki? Znam ludzi, którzy na całe życie znienawidzili poezyją przez wstręt nabyty w dzieciństwie do wyuczania się wierszy za karę. Co sądzić o metodzie nauczania używającej jako bodźca — obrzydzania nauki wychowawcom?

Często też za coś bardzo mądrego i za miarę stanowczości swej, uważa pedagog zmuszanie dziecka uporem, do wykonania zdwojonego za karę zadania. Nazywa się to *przełamywaniem* woli dziecka. Samo słowo określa już istotę takiego czynu. Staramy się łamać to co wspierać i kierować rozumnie powinniśmy.

W obfitym repertoarze kar naszych, leży jeszcze karanie wstydem i upokorzeniem, choć dosyć jest przez chwilę zastanowić się głębiej nad takim środkiem, aby poznać ile złego zdolny jest wywołać w moralnym ustroju dziecka, że wspomnę tylko o szkodliwem oddziaływaniu podobnych wrażeń wprost na mózg jego....

Na zakończenie dotknąć jeszcze trzeba używanego w niektórych domach systemu kar i nagród pieniężnych. Tak jest, metody tej używają nawet ludzie, skądinąd brzydzący się *handlem*. Dziecko za każdy dobry postępek, za grzeczność, pilność dostaje pewną umówioną liczbę groszy, płaci zaś sztraf za każde przewinienie.

O moraliści, moraliści! jakże wzniosłe zasady wszczepiacie w przyszłe filary społeczeństwa.

Ta ostatnia metoda, najjawniej wykazuje wewnętrzną, moralną wartość kar i nagród używanych w wychowaniu i od obszerniejszych wywodów uwalnia nas bijącą w oczy sprzecznością środków, z celami, którému służyć mają.

T. Z.

GAWĘDY HIGIENICZNE I LEKARSKIE.

IX.

Dyjetetyczna recepta dla osób kaszlących.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Kaszel (t. j. gwałtowne, kurczowe, szybkie, mocne i dźwięczne wydychanie), sam z siebie nie stanowi choroby, lecz tylko jest objawem chorobowego podraźnienia błony śluzowej, wyściełającej drogi oddechowe (a mianowicie: krtań, tchawicę i jej rozgałęzienia, oraz płuca). Występuje on przy bardzo wielu różnorodnych cierpieniach i rozstrojeniach, przynosząc po większej części korzyść choremu, gdyż ułatwia wydalenie z dróg oddechowych materyi niepotrzebnych, jak: śluz, ropa, krew, woda. Bez względu na to że kaszel bywa raczej pożytecznym, aniżeli szkodliwym, osoba nim dotknięta powinna zachowywać pewną ostrożność, jeśli właściwie nie z przyczyny kaszlu, to w skutek sprawy chorobowej, która wywołuje kaszel. Przepisy dyjetetyczne, niezbędne do zachowywania przy kaszlu, zawierają się w następującej krótkiej recepcie:

Rec. *Równomiernie ciepłe* [1]) *i czyste* [2]) *powietrze podczas dnia i nocy.*
Spokojne, głębokie wdychanie [3]) *i powolne wydychanie* [4]).
Spokojność [5]) *pod każdym względem.*
Lekki, pożywny pokarm [6]).
Umiarkowanie ciepła odzież [7]).

S. *Im wcześniej i ściślej zachowywane będą te przepisy, szczególniej co do dzieci, tem prędzej przejdzie kaszel.*

Co do 1) *Ciepłe powietrze do oddychania* stanowi jeden z najważniejszych warunków wyzdrowienia przy wszystkich chorobach przyrządu oddychania, połączonych z kaszlem. Lecz ciepłe to powietrze (+ 15 do 16° R.) powinno być wdychane równomiernie jak dniem, tak i nocą (w ciepłym pokoju sypialnym). Szybkie przejście z pokoju ciepłego do zimnego, lub na chłodne i wilgotne powietrze, szczególniej przy wschodnim wietrze, jest nadzwyczaj szkodliwem dla osób dotkniętych cierpieniem narzędzi oddechowych. Kto więc ma kaszel i musi, z powodu okoliczności od jego woli niezależnych, pozostawać w zimnie, powinien koniecznie, nawet podczas snu, nosić respirator. Jeśli kaszel zacznie się objawiać u dzieci, to trzeba je natychmiast umieścić w ciepłym pokoju (zwłaszcza zimą) i trzymać tam do tej pory, dopóki nie ustąpi zupełnie. W ten bowiem sposób, zabezpieczymy dziecię od wszelkich niebezpiecznych dlań stanów chorobowych, wywołujących również kaszel, mianowicie od dławca (krup), krztuśca (koklusz) i zapalenia płuc. Nie mniej, należy wzbronić ściśle kaszlącym dzieciom, wydalania się z ciepłego pokoju do zimnego.

Co do 2) *Czyste powietrze do oddychania* niezbędnem jest także przy każdym kaszlu. Kurz i dym tytuniowy podtrzymują kaszel. Osoby więc kaszlące, zmuszone pracować w powietrzu napełnionem kurzem i dymem (jak np. młynarze, piekarze, kuśnierze, tkacze, szlifierze, murarze, furmani, robotnicy w fabrykach tytuniu), powinni koniecznie nosić na ustach i nosie rospirator, lub cienką jedwabną przepaskę. Samo z siebie wynika, że przy kaszlu trzeba troskliwie unikać drażniących gazów. Odnośnie zaś do palenia tytuniu, jest ono daleko mniej szkodliwem, zwłaszcza jeśli ma miejsce na otwartem powietrzu i bez zaciągania się, aniżeli oddychanie powietrzem napełnionem dymem tytuniowym.

Co do 3) i 4) *Oddychanie* (ciepłem, czystem powietrzem) *powinno być spokojne i dość głębokie.* Należy unikać wszystkiego, co zbyt przyspiesza oddychanie (a mianowicie: natężonej pracy fizycznej i umysłowej, pobudzających namiętności i zabaw i t. p.), lub tego, co przeszkadza swobodnemu rozszerzaniu się płuc (jak np. ciasna odzież). Przeciwnie, każda osoba kaszląca powinna nabrać wprawy w powolnem rozszerzaniu i zwężaniu swej klatki piersiowej, to jest, nauczyć się spokojnie i głęboko wdychać, oraz powolnie i mocno wydychać powietrze.

Co do 5) *Kaszlący ma zachować się o ile tylko może jak najspokojniej* pod względem fizycznym, umysłowym i płciowym, gdyż większy dopływ krwi do przyrządu oddychania, szczególniej do płuc, spowodowany jakiembądź podraźnieniem, łatwo wzmaga kaszel. Trzeba przeto unikać wszystkiego, co powiększa bicie serca i przyspiesza oddychanie. Dzieci zaś, należy powstrzymywać od swawoli, i starać się o to, aby nie krzyczały.

Co do 6) *Pokarm powinien być pożywny, lecz lekki i nie pobudzający.* Wszystko co rozpala i drażni nerwy, jak np. korzenie, napoje wyskokowe, kawa i herbata, może działać szkodliwie, zwłaszcza jeśli wywołuje mocne bicie serca i przyspieszone oddychanie. Najgłówniejszym pokarmem dla kaszlących ma być mleko i rosół; zresztą, przy dobrem trawieniu, dyjeta zbyt ścisła, jest niewłaściwą. Niektóre osoby całkiem niesłusznie obawiają się pokarmu tłustego, kwaśnego i słonego. Przeciwnie, jeśli kaszlący cierpi rzeczywiście na suchoty płucne, to tłuszcz i sól są dlań bardzo pożyteczne.

Co do 7) *Utrzymanie w umiarkowanem cieple całego ciała*, a szczególniej nóg, grzbietu i pod pachami, stanowi dla kaszlących bardzo ważny warunek, gdyż pomaga do usunięcia kaszlu i zarazem zapobiega zgubnym skutkom zaziębienia. W tym więc celu, korzystną jest rzeczą nosić wówczas na gołem ciele cienką odzież flanelową (mianowicie kaftanik i pończochy). U dzieci, utrzymanie w cieple nóg, grzbietu, brzucha i pod pachami, jest rzeczą nieodzownie konieczną.

d. c. n.

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ LXXXVIII.

Wymowa Komansza.

— Hietanie!—rozpoczął stary wódz mowę swoję—Hietanie! dzieci moje i bracia moi w radzie. Odwołuję się do was o odroczenie sądu tej sprawy. Jestem waszym wodzem, ale nie wymagam z tej przyczyny żadnych ustępstw. Vacono jest moim synem, ale nie proszę dla niego o żadną łaskę, oczekuję tylko od was sprawiedliwości takiej, jaką by wymierzono najnikczemniejszemu z całego plemienia niczego więcej. nie wymagam dla mojego syna, Vacono jest dzielnym wojownikiem, któż tego z was nie wie?.. Nosi puklerz i liczne trofea, zabrane tym bladym twarzom, tak nienawistnym, jego kamasze mają za frendzlę skórę z głów nieprzyjacielskich, u jego pięt wloką się długie pukle ich włosów. Kto będzie śmiał zaprzeczyć że Vacono, mój syn Vacono nie jest dzielnym wojownikiem!

Szmer potwierdzający odpowiedział na to ojcowskie wezwanie.

— Wilk hiszpański jest także wojownikiem i to dzielnym wojownikiem, nie podobna mu zaprzeczyć, że ma serce odważne i silne ramię obdarł ze skóry dużo głów nieprzyjacielskich i szanuję jego trofea. Ale bo i któż z nas nie zrobił by tego samego!

Ogólny okrzyk zadowolenia był odpowiedzią na te pochlebne słowa,

Widocznie ulubieńcem tej okrutnej zgrai nie był Vacono, ale piękny renegat.

Stary wódz spostrzegł to także i czuł się nieco urażonym.

Po małej pauzie ciągnął dalej rozpoczętą mowę, ale innym już tonem, zaczął malować odwrotną strone portretu walecznego Hissooroyo, nie szczędząc barw najciemniejszych. Ton jego mowy był cierpki i nieprzyjazny.

— Szanuję więc wilka hiszpańskiego—mówił stary wódz—gdyż serce ma odważne a silne ramię. Ale posłuchajcie mnie dalej Hietanie, dzieci moje i bracia moi! Są w naturze rzeczy wprost sobie przeciwne: jest noc i dzień, lato i zima, zieleniejąca łąka i pusta pustynia, takąż sprzeczność przedstawia mowa Hissoo-royo. Ma on dwa języki, które różnią się tak, jak ciemność różni się od światłości. Ma on dwa oblicza, a mowa jego jest zjadli-

wą jak żądło węża grzechotnika, nie można jej wierzyć.

Wódz zatrzymał się, ustępując głosu przeciwnikowi. Ale ten nie starał się bynajmniej bronić od zarzutu, zapewne wiedział dobrze że był on dosyć słusznym a z drugiej strony nie obawiał się o swoję popularność. Zresztą trudno było okłamywać Komanszów, którzy sami w tej sztuce byli dzielnymi mistrzami.

Indyjanie znani są ze sprytu do łgarstwa i w tym względzie mogliby się równać chyba ze Spartańczykami jeżeli ci w samej rzeczy zasłużyli na swoję reputacyję.

Renegat więc nie zaprzeczał wcale słowom starego wodza tylko z dumą i spokojem wyrzekł te słowa:

— Jeżeli mowa Hissoo-royo jest fałszywą to niech rada nie wierzy jego słowom, niech zawoła świadków jest ich dużo i potwierdzą zapewne prawdę tego co powiedział Hissoo-royo.

— Wysłuchajcie naprzód Vacono! niech Vacono mówi!

— Gdzie jest Vacono?

Te zapytania wyszły jednocześnie z ust kilku członków rady.

A znowu ozwał się sopran piskliwy wołając trzykrotnie a donośnie, Vacono! Vacono!

Wódz znowu zabrał głos.

— Bracia słuchajcie! dla czego chciałbym zawiesić radę. Mój syn nię znajduje się w obozie, powrócił na ślad wojenny i jeszcze nie przyszedł stamtąd. Nie wiem co się z nim dzieje, wątpliwość mam w sercu, ale nie obawę, Vacono jest dzielnym wojownikiem i może sam sobie dać radę nie, zabawi zapewne długo i wkrótce go zobaczymy. Dla tego też chciałbym zatrzymać wygłoszenie wyroku.

Szmer niezadowolenia był odpowiedzią na to żądanie, partyzanci renegata trzymali widocznie górę nad przyjaciołmi młodego wodza.

Hissoo-royo korzystając z przyjaznego dla siebie usposobienia zwrócił się znowu do zgromadzenia.

— Dokąd że ta bagatela będzie nas zatrzymywać, Hietanie. Dwa razy słońce zachodziło, a jeszcze jej nie załatwiliśmy. Ja się domagam tylko sprawiedliwości. Według praw waszych sąd nie może być zawieszonym trzeba ażeby łup należał do kogoś. Ja domagam się tego, co do mnie należy i obowiązuję się stawić świadków na poparcie praw swoich. Vacono ich nie ma, bo inaczej czyżby tu nie przybył żeby ich także postawić. Nie ma on innych dowodów nad swoje własne słowa, wstydzi się więc pokazać przed wami, i oto dla czego wydalił się z obozu w tak ważnej chwili!

— On nie jest nieobecny!— zawołał jakiś głos ze środka widzów — Vacono jest w obozie!

Wiadomość ta sprawiła ogromne pomieszanie a nawet zauważyłem, że i stary wódz podzielał ogólne zdziwienie.

— Kto mówi! że Vacono jest tutaj?—zapytał głośno.

Jeden Indyjanin wyszedł z grona widzów. Poznałem człowieka którego spotkałem na drodze.

— Vacono jest w obozie! — powtórzył zatrzymując się w pośrodku otaczającego go koła — widziałem młodego wodza, mówiłem z nim!

— Kiedy?

— Tylko co!

— Gdzie?

Mój przyjaciel wskazał miejsce naszego spotkania.

— Poszedł tam—mówił dalej—wszedł pomiędzy drzewa i nie widziałem go odtąd!

To objaśnienie bardziej jeszcze zdziwiło zgromadzonych. Nie mogli pojąć dla czego Vacono znajdował się w obozie, a nie pokazał się dotychczas dla podtrzymania swojej sprawy. Stary ojciec zdawał się być najbardziej zdziwionym, nie probował już nawat tłomaczyć nieobecności syna, niepodobna już bowiem było tego uczynić, zachowywał więc milczenie stojąc z miną zdziwioną i zawstydzoną.

Kilku z Indyjan zaproponowało przedsięwziąć poszukiwania, wszyscy się zgodzili na to i postanowiono wysłać posłańców aby przeszukali cały obóz i krzaki.

Dreszcz mię przebiegł aż do kości, skorom usłyszał tę propozycyją, kolana uginały się podemną. Wiedziałem dobrze, że jak zaczną szukać po krzakach, żadnym sposobem nie będę mógł zachować dłużej swojego *incognito*. Kostyjum Vacono był nadto widocznym nie widziałem podobnego na żadnym z wojowników, żaden z nich nie nosił płaszcza ze skóry jaguara, który właśnie najbardziej mógł mię zdradzić. Moje tatuowanie jak najdoskonalsze nie przydało by mi się na wiele, zaprowadzonoby mię przed ogień i sztuczne malowidło wnet by się wydało, oddanoby mię na tortury i posiekano w kawałki nie tyle jako nieprzyjaciela, ile za obejście, jakiegośmy się dopuścili względem Vacono.

Obawy moje doszły do najwyższego stopnia ale wkrótce zostały uspokojone kilkoma słowami wilka hiszpańskiego.

— Na co się przydało szukanie Vacono!— zawołał mój przypadkowy wybawca—zna on przecie dobrze swoje imię, wołano go dosyć głośno, Vacono przecie ma uszy, mógł dobrze usłyszeć, jeżeli się znajduje w obozie. Zawołajcie go raz jeszcze, jeżeli wam się podoba, ale szukać nie ma potrzeby.

Propozycyja ta zdawała się rozsądną, zgodzono się na nią. Po raz czwarty krzykacz wołał po imieniu młodego wodza.

Każdy mógł się przekonać, że jego donośny głos powinien być słyszany aż na samym końcu obozu, a nawet w sporej od niego odległości.

Przez pewien czas panowało zupełne milczenie każdy nadst wiał ucha, przysłuchując się czy nie usłyszy odpowiedzi. Ale nic nie odpowiadało, Vacono się nie zjawił.

— A co!—zawołał renegat z miną tryumfującą—nie powiedziałem! Wojownicy! domagam się waszego wyroku!

Nie odpowiedziano mu zrazu, nastąpiło długie milczenie podczas którego nikt nie wyrzekł słowa ani w kole radzących ani pomiędzy spektatorami.

Nakoniec najstarszy z członków rady podniósł się, zapalił fajkę a wypuściwszy kłęb dymu z cybucha świętej fajki, podał ją Indyjaninowi, siedzącemu po lewej stronie, ten z tą samą ceremoniją podał swojemu sąsiadowi i znów obeszła do około ogniska i powróciła do starego wojownika, który ją pierwszy zapalił.

Prezydujący położył fajkę i począł mówić głosem uroczystym, ale nie zrozumiałym dla zwyczajnych spektatorów tej sceny.

Nastąpiło tajne ustne głosowanie.

Sąd wygłoszono publicznie.

Decyzyja była najdziwaczniejszą i niespodzianą. Sędziowie zachorowali gwałtownie na sprawiedliwość, i osądzili tak aby obu stronom nie było krzywdy. Koń był przysądzony Vacono a dziewczyna uznana za własność wilka hiszpańskiego.

ROZDZIAŁ LXXXIX.

Renegat.

Ta decyzyja zadowolniła wszystkich, straszny uśmiech co wykrzywił usta renegata, świadczył, że i on był zadowolony — wygrał przecież najważniejszą część sporu.

Wódz z białymi włosami zdawał się być także uradowanym. Prawdopodobnie z tych dwóch przedmiotów, o które się sprzeczano stary dziki wolał konia. Lecz zdaje się inaczej sądziłby Vacono, gdyby się tu znajdował. Wątpię czyby przystał tak łatwo na wyrok rady.

Ze swojej strony renegat był nad wszelki wyraz zadowolony. Znać było w jego twarzy że cenił wysoce rzadki skarb, jaki mu wpadł w ręce. Nie był on w stanie ukryć wielkiej swojej radości i z miną tryumfującą i wesołą zbliżył się do miejsca w którem stała branka.

Zaraz po wygłoszeniu wyroku Indyjanie siedzący na około ogniska powstawali. Rada była skończoną.

Członkowie porozchodzili się: jedni wolno powrócili do swoich zajęć, drudzy pozostali przy wielkim ogniu przyłączywszy się do swoich towarzyszy, nie już z tą uroczystą powagą właściwą członkom rady, ale poziewając, śmiejąc się i giestykulując najweselej w świecie.

Wszyscy ci ludzie zdawali się zapomnieć zupełnie o sporze i jego przedmiocie. Oddano konia jednemu z przyjaciół Vacono a dziewczynę Hissoo-royo. Sprawa była skończoną.

Może gdzie niegdzie jaki dzielny młodzieniec z sercem wzruszonem spoglądał na młodą niewolnicę; nie ma wątpliwości że nie jeden z dzikich w duszy zazdrościł renegatom jego szczęścia, ale musiał ukrywać swoje uczucie i spoglądał tylko ukradkiem. Nikt nie zdawał zajmować się renegatem i bladą jego niewolnicą, pozostawiono ich w spokoju. Ale nie byli sami, bo ja tuż przy nich byłem.

Od tej chwili wszystkie uczucia i myśli moje na nich się jedynie skupiły, zacząłem szpiegować.

Stary wódz powrócił do swojego namiotu. Isolina pozostała sama opuszczona pod władzą okrutnego renegata, który na sekundę jej nie

opuszczał. Inaczej byłbym stanął przy niej. Ręce moje machinalnie szukały rękojeści myśliwskiego noża, ale nie miałem czasu działać, bo w tej samej chwili Hissoo-royo znalazł się przy niej. Przemówił do niej po hiszpańsku bo nie chciał, ażeby inni mogli rozumieć ich rozmowę.

Ale nie wiedział, iż nie opodal był ktoś, co nie stracił ani jednego słowa.

— A co!— zaczął z miną tryumfującą — A co! Donno Isolino de Vargas! czy słyszałaś? Wiem że rozumiesz język w jakim odbywała się rada, to twój język narodowy.

Ta dzika bestyja szydziła z nieszczęśliwej.

— Jesteś moją duszą i ciałem, słyszałaś nieprawda?

— Słyszałam! — rzekła ze smutną rezygnacyją.

— I musisz być zapewne zadowoloną. Jestem biały tak jak i ty, odebrałem cię jakiemuś Indyjaninowi czerwono-skóremu. Musisz być zadowoloną z podobnego sądu?

— Bardzo zadowoloną! — odrzekła znowu tym samym tonem rezygnacyi.

Odpowiedź ta zadziwiła mię trochę.

— To kłamstwo!—krzyknął ostro Hissoo-royo—Nie jesteś ze mną szczerze, moja miła senorito! Wczoraj jeszcze miałaś tylko słowa pogardy i dziś musisz mną gardzić jeszcze.

— Nie mam mocy tobą pogardzać, jestem twoją niewolnicą!

— Tak, prawdę mówisz! nie jest w twojej mocy pogardzać mną. A zresztą nie dbam o to, czy kochasz mnie czy nie, jak ci się podoba. Może przywiążesz się do mnie z czasem, życzyłbym sobie tego bardzo ale to już twoja rzecz, piękna senorito! Tymczasem jesteś moją, nikt mi nie zdoła cię odebrać.

Nie mogłem dłużej wytrzymać, krew zawrzała mi w żyłach. Pochwyciłem nóż, zgiąłem nogi jak tygrys, co się ma rzucić na swoję zdobycz. Zamiarem moim było pchnięciem noża powalić tego łotra, a następnie oswobodzić nogi niewolnicy, przecinając ściskające je węzły.

Ale chwila nie sprzyjała mi ciągle, było jeszcze ze dwudziestu Indyjan przy ogniu, chociażbym więc powalił przeciwnika, nie podobna było umknąć.

Nie mogłem jednak wytrzymać dłużej, chciałem stawić wszystko w tym momencie, kiedy na szczęście kilka słów następujących zatrzymało mię na miejscu.

— No!—zawołał renegat—Chodź senorito, chciałbym z tobą pomówić! przejdźmy się do lasku! No chodźmy!

Byłem bardzo rad z tej propozycyi bo w lesie lepiej mogłem dokonać zamiaru swego. Powstrzymałem się więc jeszcze i czekałem sposobnej chwili.

Przysłuchiwałem się tym czasem, co odpowie Isolina, patrzyłem na nią śledząc każde jej poruszenie.

Spojrzała na nogi spętane rzemiennym paskiem.

— Jakże będę mogła iść z tobą?— zapytała spokojnie tonem zdziwienia!

Ton ten zapewne był przybranym. Isolina więc myślała jeszcze o ocaleniu swojem i miała może nawet jakiś projekt.

— To prawda!—odpowiedział bandyta poczem odwrócił się i wyjął nóż z za pasa. Nie pomyślałem o tem, ale zaraz.... Uciął węzeł tylko do połowy nie oswabadzając tym sposobem niewolnicy.

Pozostawał tak czas jakiś, wpatrując się w oczy swojej branki i nagle snać duch niewiary go opanował, bo wkładając nóż na powrót za pas, rzekł:

— Klnę się na Matkę Najświętszą, że ci nie dowierzam Isolino! Zanadto masz dobre nogi, moja mała! Może ci przyjść ochota ich probować! Lepiej tak będzie. No! podnieś się trochę wyżej! tak teraz idźmy!

I niegodny łotr pochylił się nad Isoliną, objął ją wpół i uniósł...

Widziałem to i nie miałem mocy go zamordować, patrzyłem na to z zimną krwią, nie umiem doprawdy powiedzieć, jak się to stało, bo podobny spokój nie leży w mojej naturze. Widocznie nerwy moje wystawione tylokrotnie na zbyt ciężkie próby, jak stal się zahartowały. A być może że i nadzieja wybawienia najdroższej istoty ze szpon tego tygrysa dodała mi tyle siły. Na wszystko tedy pozostałem zimny, nie poruszając się z miejsca, ale stan ten był tylko chwilowym.

ROZDZIAŁ LXL.

Chwila stanowcza.

Renegat porwawszy w swoje objęcia Isolinę, miał ją unieść, co mówię, zawlec, bo biedne jej nogi wisiały związane na trawie.

Przeszedł koło namiotu i skierował się w las.

A ja ciągle ukryty w krzakach, posuwałem się brzegiem, szedłem prędko bez żadnego jednak szelestu, aby podążyć za nim na miejsce. Przybyłem tam nawet pierwszy, i zatrzymawszy się w cieniu drzew, czekałem ściskając w ręku puginał.

Ciężar, jaki ze sobą ciągnął renegat opóźnił nieco jego przybycie, tymbardziej, że zatrzymał się na pół drogi, aby odpocząć. Stał chwilę o dziesięć jakich kroków od lasku, trzymając zawsze na ręku młodą dziewczynę, która zdawała się o niego opierać. Miałem chwile niepewności, w których pytałem się sam siebie czy należało dłużej czekać, czy raczej nie trzeba było rzucić się na tego łotra! Pora zdawała mi się najstosowniejszą, taką właśnie jakiej mogłem sobie życzyć. Byłem już nawet zdecydowany to uskutecznić, kiedy zobaczyłem na nowo zbliżającego się w moję stronę Hissoo-royo.

Nadchodziła tedy chwila stanowcza. Była nawet bliższą, aniżelim myślał. Renegat zrobił zaledwie trzy albo cztery kroki z miejsca w którem odpoczywał, kiedy nagle zobaczyłem go razem ze swoją niewolnicą upadającego na ziemię.

Upadek ten był przypadkowym, tak przynajmniej mogłem sądzić z dzikiego krzyku jaki mu towarzyszył. Przyczyną upadku i krzyku było atoli widocznie coś więcej niż złe stąpnięcie,

Nastąpiło krótkie szamotanie się i walka pomiędzy leżącymi, poczem Isolina podniosła się trzymała coś w ręku, było to ostrze zakrwawione, na którem odbijało się światło księżyca i blask ogniska. Bohaterka pochyliła się na chwilę dla przecięcia rzemienia, który jej ściskał nogi, i uskuteczniwszy to, zaczęła uciekać, lecąc z całych sił po murawie.

Nie namyślając się ani chwili wyskoczyłem z ukrycia i poleciałem za nią.

Przebiegłem koło renegata, który się podniósł na nogi i zdawał się być tylko lekko ranionym, jednakże zdziwienie jakby go przybiło do miejsca, krzyczał, przeklinał, wołał pomocy, groził zemstą.

Mógłbym go zabić, miałem nawet wielką ochotę to uczynić ale nie miałem czasu ani sekundy. Myślałem tylko o tem aby dogonić zbiegłą i pomódz jej w ucieczce.

Krzyk renegata zrobił wielki alarm w obozie dzikich, ogromne powstało tam zamieszanie, pięćdziesięciu dzikich puściło się za nami w pogoń.

Podczas, kiedyśmy tak lecieli oczy moje padły na białego konia. Był to biegun stepowy jeden człowiek trzymał go za uzdę i prowadził daleko od ogniska dzikich i od miejsca zajętego przez inne konie, zamierzał go właśnie przywiązać do dzidy wetkniętej w trawie.

Człowiek i koń znaleźli się przedemną w chwili, kiedy leciałem tuż za uciekającą. Isolina skierowała się ku nim; odgadłem jej zamiar.

Indyjanin się opierał, nie chcąc oddać konia czerwone ostrze zabłysło mu przed oczyma cofnął się w tył strwożony widocznie. Ciągnął jeszcze wprawdzie za sznur ale ten w mgnieniu oka został przecięty, koniec tylko pozostał w ręku dzikiego. Z niewypowiedzianą szybkością dzielna bohaterka skoczyła na koń i zaczęła uciekać galopem.

d. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Zasady i czyny, powieść przez Waleryją Marrené (Morzkowską). Warszawa. Nakładem Redakcyi „Przeglądu Tygodniowego.“ 1875 r. str. 488 in 16-o.

(Dokończenie)

Odmienną zupełnie postać przedstawia parwenijusz Grzeżułka. Jest to natura prosta, nieokrzesana, umysł wysoce praktyczny, w ogóle przepysznie skreślony typ dorobkiewicza. Dwa pierwiastki moralne wprowadzają tę postać do sytuacyj powieściowych: — uczucie zemsty za krzywdę, doznaną od dumnego rodu arystokratów, i gorąca miłość dla jedynaka, w którym widzi szczyt doskonałości. Oto motywy duchowe, które pobudzają tego plebejusza do walki z zapleśniałym żywiołem arystokratycznym. Nie wychodzi on jednakże z biernego stanowiska, wylewając swą nienawiść gorzkiemi słowy gniewu i pogardy. Zawiesza tylko nad głowami dumnych arystokratów su-

rową groźbę odwetu. Walka stacza się między młodem pokoleniem, o czem zresztą później nieco pomówimy.

Typ Grzeżułki należy do owych rzadko napotykanych w literaturze postaci, w których twórca wlał życie prawdziwe. To nie abstrakcyja, uwydatniająca pewną ideję, ale człowiek z krwi i ciała, to nie nakręcona przez autorkę maszyna, wypełniająca zawsze niezbędne dla przeprowadzenia głównej myśli czynności, ale postać działająca pod wpływem pobudek, będących objawem głęboko skreślonej i konsekwentnie przeprowadzonej duchowości. Prawda tryska tu z każdego niemal słowa i ruchu, prawda życia, nie idei. Świetnie obmyślaną jest ostatnia sytuacyja utworu. Grzeżułka ratuje od śmierci kobietę, którą całą potęgą duszy nienawidził, a kiedy sługa hrabiny, dziękuje mu za wyratowanie pani, gwałtowny ów objaw wdzięczności nie podobał się wcale tej dzikiej duszy. Uczynek ten bowiem był bardziej instynktowny jak rozmyślny. Dla tego też odezwał się opryskliwie:

— At nie ma o czem mówić. Juścić skoro mnie tam licho przyniosło, nie mogłem pozwolić, aby kobieta upiekła się jak kurczę.... Dopiero w obec majestatu śmierci ugiął się ten duch gniewny i szyderczy.

Oto świetny rys, charakteryzujący tę twardą i nieokrzesaną naturę, która miękła tylko na widok cierpień syna i z obawy jego utraty. Dziwimy się tylko, że człowiek tak praktyczny i nie zwracający uwagi na żadne względy światowe, pozwolił na to, aby ukochany syn rezykował życie w pojedynku z hrabiczem. To tylko usprawiedliwia w części autorkę, że Grzeżułka uważał za święte i doskonałe wszystko, co tylko syn postanowił. W każdym razie odstępstwo czynu od zasady nie jest tu należycie umotywowane.

Przedstawicielem nowych zasad ma być syn Grzeżułki — Jan. Postać to skreślona z mniejszym nieporównanie artyzmem. Z samego początku wydaje się on nam pewną abstrakcyją, ucieleśnieniem zręcznych a wyrafirowanych doktryn i rozumowań. Autorka skazała go na wyssanie zepsutych soków nauki i postępu, uwydatniając tym sposobem w żywej postaci tu i owdzie błąkające się fałszywe światełka sparodyjowanych przekonań moralno-społecznych. Czy podobne typy istnieją w naszem społeczeństwie? Czy z drugiej strony należy wskazywać ujemne strony na drodze postępu, na którą zaledwie wstąpiliśmy, w blady nader i ogólnikowy zaledwie sposób napomknąwszy o tem, co na niej jest wzniosłe i szlachetne?... Odpowiedź na te pytania zostawiamy zdrowo myślącym czytelnikom.

Tymczasem idźmy dalej. Mamy oto przed sobą duchowość zimno rozumującą, której nie ogrzewa żadna iskierka serdeczniejszych uczuć. Lodowata jej skorupa nie dopuszcza nawet promienia miłości rodzicielskiej. I cóż ją odradza, cóż wlewa weń ciepło, pod ożywczem tchnieniem którego roztapia się owa zimna powłoka?... Oto jedno romantyczne zdarzenie. Spotkawszy w nocy biedną, opuszczoną dziewczynę, Jan musiał uczuć litość dla nieszczęśliwej; piękność dziewczęcia mogła go zachwycić. Ale niepodobna przypuścić, aby ciepło, które rozlała w jego piersi ta urocza, a nieszczęśliwa istota, miało rozgrzać ją światłem potężnych uczuć, których iskierki nawet wprzódy nie dopatrujemy. Czyż podobna, aby człowiek, który zrywa węzły natury, gwałcąc uczucia rodzinne, człowiek, który ani jednej łzy nie uroni na wspomnienie cierpiącej matki, miał powstać z prochu zimnych uczuć pod dotknięciem czarodziejskiej dłoni jednej dziewczyny. Pod tchnieniem miłości zimna dusza Jana dziwnie mięknie i pogrąża się zupełnie we mgle sentymentalizmu.

Nie można jednakże powiedzieć, żeby postać ta nie była scharakteryzowaną kilkoma wybitnymi a pełnymi prawdy rysami. Jan odstępuje od zasad swoich, ulegając względom światowym, które na równi z bardziej poziomemi sprawami wchodzą w rachunek zimnego rozumowania. Pobudki tu czysto egoistyczne. Pozycyja światowa jest cennym kapitałem; warto dlań wiele poświęcić. Odstępstwo czynu od zasady dobrze jest umotywowane. Ideja tu bardzo piękna. Zewnętrzna powłoka fałszywych doktryn roztapia się pod wpływem ożywczego ognia uczuć serdecznych, które wpływ zewnętrzny wydobywa z popieliska. Ale nie umiała autorka należycie tej idei przeprowadzić: zanadto wlała z początku zimna do młodzieńczej duszy, a później za słaby dla rozgrzania zatliła płomień.

W niektórych jednakże pojedyńczych rysach przebija się jasno talent niepospolity, dosadność i barwność rysunku.

W galeryi typów drugorzędnych znajdują się nader drogocenne perły. Postać księdza hypokryty, który obchodzi się nader łaskawie ze swoją doczesną egzystencyją a niebieskiem zbawieniem hrabiny, dalej nieco za jaskrawo, ale barwnie i z głęboką prawdą psychologiczną skreślona postać starej panny — oto typy, przynoszące prawdziwy zaszczyt twórczości autorki.

Za to dodatnie postacie są bladymi tylko ogólnikami. Szlachetna i rozumnie postępowa panna Aniela Sielska i również szlachetny i rozumnie postępowy mentor, pan Konrad — to osobistości, które bardzo pięknie myślą i mówią, ale niczego nas nie uczą. Brak tu życia, brak krwi i ciała, zostaje sama tylko ideja i abstrakcyja. Zresztą postać Anieli, w której autorka chciała uwydatnić piękne postępowe ideje, to tylko *pium desiderium*, którego z latarnią Dyjogenesa trzeba szukać wśród ziemianek naszych. Przytem owe szlachetne myśli spoczywają jak skarby zamknięte, nie puszczone w ruch właściwem zestawieniem sytuacyj. Raz tylko występują one na arenę czynu, aby rzucić w oczy srogą pogardę stęchłej pleśni przesądu i bezczynnej wegietacyi. Prócz tego posłannictwa dwie te postacie wiąże z przewodnią tendencyją utworu bardzo abstrakcyjne tylko rozumowanie Konrada o stosunku zasad do czynu *a propos* pojedynku dwóch przeciwników.

Efemeryczna postać Marylki jest tylko jednem westchnieniem zbolałego a szlachetnego serca, jedną bierną sprężynką akcyi. Pod względem psychicznym przedstawia tu tylko pewien interes objaw bezwiednego, instynktownego uczucia miłości w stosunku do głębokiej sympatyi, opartej na świadomem poczuciu prawdziwej szlachetności duszy.

Oto typy, jakie mniej lub więcej udatnie skreśliła w swej powieści pani Morzkowska. Zobaczymy teraz, jakiemi sytuacyjami wiąże je autorka, i jaka właściwie myśl przewodnia przyświeca jej utworowi.

Co do ostatniego trudno zaiste orzec stanowczo, czy idzie tu głównie o uplastycznienie myśli, wyrażonej w tytule, czy o przedstawienie dwóch przeciwległych żywiołów społecznych, dwóch wrogich sobie prądów życia. Skreślenie głównych postaci zdaje się przemawiać za ostatniem, gdy tymczasem wiele motywów duchowych, wprowadzonych do powieści o pierwszą tendencyją silnie zawadza. Brak tu jedności artystycznej, brak jasnego uwydatnienia jednej przewodniej myśli. Jeżeli idzie głównie o zasady i czyny, to materyjał tu zbyt ubogi i źle wybrany; jeżeli zaś ma to być walka dwóch prądów społecznych, to za mało znów widzimy tej walki. Młode pokolenie dwóch wrogich obozów uskutecznia ją pojedynkiem, który bynajmniej nie rozwiązuje ważnej kwestyi społecznej, po czyjej stronie jest prawo bytu.

Jednakże kwestyja prawa bytu daleko lepiej się uwydatnia i rozwiązuje w upadku finansowym, z przyczyny gnuśnej wegietacyi hrabiowskiej rodziny, a zbogaceniu się prostego parwenijusza siłą pracy i zapobiegliwości. Ale te siły postępowe są już z góry przygotowane, nie wchodzą prawie do walki i w niezbyt sympatycznej przedstawiają się formie.

Całą siłę talentu skupiła autorka na skreślenie kilku wybitnych postaci, co też w pewnej części znakomicie się jej powiodło. Widzimy tu barwną mozajkę, obok bladych barw, a wszystko na tle jasno nie skreślonem, bez harmonii i silnego światła jednej przewodniej idei. Zapatrując się objektywnie na rzeczy, nie przeprowadza autorka z widoczną tendencyją pewnego prądu sympatycznych dążności. Samo życie ma stanowczo orzec, gdzie jest prawo bytu, a gdzie śmierć i zgnilizna. Ta ostatnia cecha utworu ma do pewnego stopnia nawet dodatnie znaczenie.

A. Pilecki.

GOSPODARSTWO
i
Przemysł domowy.

WYRÓB SERÓW.

Wyrabianie serów nie stanowi żadnej oddzielnej specyjalności i w każdym wiejskim gospodarstwie tak większym jako i mniejszym zwłaszcza odleglejszym od miast znaczniejszych gdzie sprzedaż świeżego mleka nie może być praktykowaną z korzyścią może mieć miejsce. Ser jako pokarm skoncentrowany, daje pożywienie zdrowe, smaczne i posilne, a konsumpcyja jego z powodu braku, odpowiedniej po-

daży popytowi, musi być ograniczoną. Podaż bowiem jest tak wielka, że nawet przywóz zagraniczny zadość uczynić jej nie jest w możności. Wiedząc z doświadczenia o ile proceder ten z korzyścią jest uprawianym w wielu miejscowościach Zachodniej Europy zamierzyliśmy również stopniowo zaznajomić nasze czytelniczki z rozmaitymi sposobami wyrabiania serów, jakich używają w różnych miejscowościach.

Zasadą fabrykacyi wszystkich w ogóle delikatniejszego smaku serów jest ślazek, czyli czwarty żołądek cielęcia, stosownie do potrzeby przygotowany w celu sprawienia zsiadania się słodkiego mleka. Otrzymana z rzeczonego żołądka ciecz płynna zwie się podpuszczką, którą przygotowywać należy wedle następnych przepisów.

SERY FRANCUSKIE.

Okolice miasteczka Sassémage, słyną wyrobem dobrych serów, które tam wyrabiają w ten sposób.

Bierze się w równej ilości mleko krowie, owcze i kozie, wlewa się do kotła i gotuje na wolnym ogniu, dopóki mleko nie zacznie podnosić się w górę, poczem zdejmuje się z ognia i pod nakryciem płóciennym pozostawia aby ostygło. Nazajutrz zbiera się z niego śmietana i dolewa tyle świeżo udojonego i jeszcze ciepłego mleka ile się zebrało śmietany. Zadaje się podpuszczka, miesza dobrze, a gdy się skrzepnie odlewa serwatkę od twarogu. Po zupełnem oczyszczeniu z serwatki twaróg wkłada się do formy, po kilku godzinach przekłada do drugiej, i to się powtarza przez trzy dni Kiedy już ser stężeje, naciera go się ze wszech stron miałko utłuczoną solą, powtarzając tę czynność po kilka razy. Kiedy już dobrze będzie przejęty solą, kładzie się na czystej i suchej desce i przewraca z boku na bok co rano i wieczór, przestrzegając aby nigdy nie kłaść go na poprzedniem miejscu, jako zwilgoconem ale zawsze na suchem. Postępowanie to, trwa dopóty dopóki nie zaczną na powierzchni swej czerwienić, wtedy rozkłada się ich na czystej słomie, rozesłanej na ziemi, przewraca codziennie z boku na bok oczyszcza suchą cienką płócienną szmatką od pleśni i wyrzynając poczynające się psuć miejsca. Jeśliby przypadkiem ser ten wysechł za nadto, poprawia go się, albo owinąwszy w siano i skrapiając letnią wodą, przewracając z boku na bok, lub też obwija czystem starem płótnem, oblewa piwem zwyczajnem, trzymając w piwnicy.

Wszelkie naczynia drewniane w serowni, jak stoły, deski i t. p. przestrzegać aby nieby-ły z drzewa sosnowego ani jodłowego, jako udzielające serom smolnej i nieprzyjemnej woni, ale raczej z lipowego.

SERKI OWCZE.

Okolice Montpellier wyrabiają serki owcze w następujący sposób:

Kiedy jagnięta są w czwartym miesiącu i dosyć mocne, odłączają się od matek w wieczór, a rano około godziny szóstej lub siódmej doją się maciorki, poczem przypuszczają jagnięta, aby wspólnie z matkami chodziły aż do wieczora. Udój cedzi się przez płótno, wlewa do jednego naczynia i natychmiast zadaje się podpuszczka, którą w ten sposób się przygotowuje.

Ośm żołądków koźlich, sześć cielęcych, lub cztery wieprzowych pochodzących od samych samców, mocno osolić i dodać do nich pieprzu kolendru i innych kuchennych korzeni, zamoczyć w occie lub białem francuzkiem winie, dodawszy dwa łuty sproszkowanego kwiatu octowego. Dziewięć lub dziesięć kwart podobnie przyrządzonej podpuszczki wystarczy do wyrobu sera od 400 owiec. Im dawniejsza tym lepsza tapoduszczka i mniejsza ilośćjej się potrzebuje. Jeśliby przez niedbałe w butelkach zatkanie lub z innej jakiej przyczyny zwietrzała i stała się słabą można ją poprawić dodawszy z półtora łuta kwiatu chabru lekarskiego (Centaurea benedicta) utłuczonego w stępie z trochą świeżego mleka, a przecedziwszy przez sito zmięszaac z zepsutą podpuszczką.

Mleko wszelkie kiedy powietrze jest ciepłe należy przechowywać w chłodnem miejscu, a kiedy jest chłodno w atmosferze umieszczać je w umiarkowanem cieple.

Kiedy mleko się zetnie, należy go wymięszać i wygnieść, potem nakłaść w formy i podobnie jak z serem de Savigne nacierać solą i przewracać z boku na bok.

Z żętycy wyrabiają we Francyi mianowicie w okolicach Montpeku serki owcze pośledniejszych gatunków pod nazwą Recuitte w ten sposób: żętycę wlaną do kotła gotują na wolnym ogniu, a dla przyspieszenia w niej zsiadłości dodają nieco świeżego mleka, której nienależy przyspieszać, ale owszem opóźniać, wpuszczając do kotła w czasie warzenia po kilka kropel zimnej wody, przez co części serowe w gotowaniu powolniej wznoszą się w górę, potem je durszlakiem należy zbierać i składać do naczynia oddzielnego, potem z solą miałko utłuczoną dobrze wymieszać i do form włożywszy wstawić pod prasę na kilka godzin aby dobrze stężały.

d. c. n.

ROZMAITOSCI.

Małżeństwo cywilne. Gazeta *Kijewlanin* wzmiankuje. że wieś Niemirymce w powiecie Berdyczowskim d. 6 (18) Lipca była świadkiem zawarcia małżeństwa cywilnego między parą włościan. Ojciec panny młodej w młodości zbiegł do Bessarabii. i po uwolnieniu włościan powrócił ze swą córką. zrodzoną w Konkubinacie, która jednak nie miała formalnej metryki urodzenia. Po śmieci ojca córka, doszedłszy do 16 lat życia, chciała wyjść za mąż. Miejscowy proboszcz odmówił ślubu dla braku metryki urodzenia. Udano się do władz policyjnych. Cała wieś zeznała protokularnie, że dziewczyna ta jest prawosławną i ma więcej niż 16 lat wieku, pomimo to jednak rok upłynął, a pozwolenia na zawarcie małżeństwa nie było, Po dokonaniu zwyczajowych przygotowań, odbyto wszystkie formalności weselne, z wyjątkiem błogosławieństwa kościelnego i spisania odnośnego aktu, i para młoda rozpoczęła pożycie małżeńskie.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. Konst. Suchodolskiemu w Noworos. Uwaga pańska co do artykułu „Odrębność żydów“ i zarzut jednostronnego poglądu na gienezę wad Izraelskiego plemienia, znajdują odpowiedź w samym że wzmiankowanym artykule, gdzie autor nie wyprowadza odrębności żydów *tylko* z doznawanego przez nich ucisku, biorąc również pod uwagę *tradycyję ich* przerodzoną wskutek okoliczności na własną ich moralną szkodę, i dążność zgubną dla otoczenia.

SPROSTOWANIE.

W Nrze 36 niniejszego czasopisma na str. 571 w kolumnie 2, należy poprawić następujące błędy drukarskie:

Wiersz 2 od góry zamiast *swawolności* ma być *swarliwości.* wiersz 16 od dołu w dopisku zamiast *różowy* ma być *rzeczony.* wiersz 12 od dołu, zamiast *źródłami* ma być *sposobami.*

W tymże Nrze. w Śladach życia w kolumnie 5-ej szpalcie 1-szej wierszu 7-ym felijetonu zamiast *wyszły już dwa tomy Romansów Walter Skotta* ma być *cztery tomy.*

Дозволено Цензурою. Варшава 3 (15) Сентября 1875 г. – W drukarni E. Skiwskiego,– Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.